Cen[illegible]

Nr. 1

Reduta
ilustrowana

Dn. 2 lutego 1930 roku

REDUTA!
REDUTA!
REDUTA!
REDUTA!

REDUTA!
REDUTA!
REDUTA!
REDUTA!



okładki
Ogłoszenia spe-
30% drożej

50gr.

Cena numeru 50 groszy.

Opłata pocztowa ryczałtem.

REDUTA
ILUSTROWANA

Wydawca:
Legja Inwalidów Wojsk Polskich

Redakcja:
Remigjusz Kwiatkowski
Tadeusz Teslar

NR. 1. 2—9 LUTY 1930 ROKU

Zarejestrowano w Komisarjacie Rządu, 35.000 egzemplarzy

Od Wydawnictwa

Żywy oddźwięk, z jakim spotkał się numer okazowy „Reduty" w szerokich warstwach naszego społeczeństwa, dodaje nam otuchy i bodźca, aby nie ustawać w podjętej pracy i rozwijać ją coraz pełniej i doskonalej ku tem większemu zadowoleniu tych wszystkich Czytelników i Prenumeratorów, którzy tak licznie pośpieszyli nam z wyrazami zachęty i serdecznego powitania. Z wdzięcznością przyjmować będziemy wszelkie rady, uwagi i wskazówki, gdyż chodzi nam o nawiązanie jaknajbliższej łączności z każdym, dla którego „Reduta", jako wydawnictwo Legji Inwalidów Wojsk Polskich, jest pismem, jednającem serce Polaka. Ambicją naszą jest doprowadzenie pisma do jaknajwyższego poziomu formy i treści tak, aby zaletami swojemi zyskało ogólne uznanie i stało się prawdziwym przyjacielem każdego miłośnika ilustrowanej lektury polskiej. Nie omieszkamy uczynić wszystkiego, aby tak było, a tymczasem składamy gorąco odczute „Bóg zapłać" i prosimy o dalsze względy, poparcie i łaskawość.

Legja Inwalidów Wojsk Polskich
imienia Generała Sowińskiego

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
Warszawa, ul. Nowolipie 2. Telefon 540-45. Konto czekowe P. K. O. Nr. 21.760.

PRENUMERATA:
Miesięcznie — zł. 2, kwartalnie — zł. 6, półrocznie — zł. 12, rocznie — zł. 24. — wraz z przesyłką lub odnoszeniem do domu. Prenumetata zagraniczna wynosi o 50% drożej.

OGŁOSZENIA:
Cała strona — zł. 900, pół strony — zł. 500, ćwiartka — zł 300, ósemka — zł. 180, szesnastka — zł. 90. Na ostatniej stronie okładki o 20% drożej. Ogłoszenia specjalne o 30% drożej.

Z HASŁEM SŁUŻENIA PRAWDZIE I DOBRU



Pani Prezydentowa Michalina Mościcka

Czcigodna Małżonka Dostojnego Prezydenta Rzeczypospolitej jest typowym wzorem Polki-obywatelki, z hasłem służenia prawdzie i dobru od zarania młodych lat idącej przez życie. Każda sprawa, gdy chodzi o otarcie łez, ulżenie niedoli i rzucenie blasków słońca w szare przyziemne życie maluczkich, ma w niej pewną orędowniczkę i opiekunkę. Nie szczędzi ofiarnego trudu, zaprawiona w pracy społecznej i wpatrzona w najpiękniejsze ideały, przyświecające kobiecie-Polce. Jedna też sobie powszechną miłość i cześć, darząc troską swego serca każde szlachetne poczynanie. Legja Inwalidów Wojsk Polskich żywi dla Niej tem głębsze przywiązanie i wdzięczność, bowiem jest Matką Chrzestną polskiego inwalidzkiego sztandaru.

Uroczystość poświęcenia fabryki związków azotowych w Mościcach pod Tarnowem





Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki, uczony europejskiej sławy, na akademji z okazji poświęcenia fabryki związków azotowych w Mościcach pod Tarnowem, której był inicjatorem, wzbogacając Polskę w doniosłego znaczenia placówkę. Aktu poświęcenia dokonał biskup Wałęga. Na lewo widzimy fragment imponujących zabudowań fabrycznych.

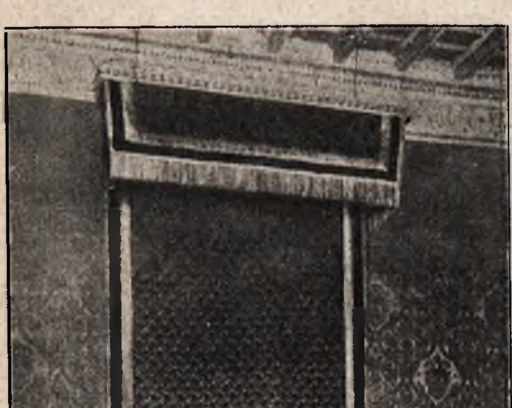


Najwyższy zwierzchnik kościoła ewangielicko-augsburskiego w Polsce, ks. biskup Bursche, uroczyście święcił jubileusz 25-lecia kapłaństwa

Szefowie delegacyj na odbywającej się konferencji morskiej w Londynie



Od lewej ku prawej: Grandi, Stimson, Briand, Mac Donald i Tardieu, reprezentujący największe mocarstwa świata. W ręku tych dygnitarzy spoczywają losy rozbrojenia morskiego.
Patrz nasz artykuł na stronicy 11 i 12.



Królestwo włoscy na audjencji u Papieża.

Ruch dyplomatyczny w Sowietach







Sir Esmond Ovey, nowy ambasador angielski w Sowietach, składa listy uwierzytelniające na Kremlu w Moskwie. Charakterystyczny wyraz twarzy mają przyjmujący ambasadora wielkorządcy sowieccy: Kalinin i pochylony w ukłonie Litwinow. Na lewo w owalu widzimy nowego posła sowieckiego w Rzeczypospolitej Polskiej, Włodzimierza Owsiejenko, na prawo — nowego ambasadora sowieckiego w Anglji, M. Sokolnikowa.

RZECZPOSPOLITA MUSI MIEĆ WŁASNE KOLONJE ZAMORSKIE

W zagadnieniu emigracji polskiej i kolonizacji sprawa ześrodkowania w jednem ognisku kierowniczem naszego wychodźtwa, tak bardzo ważna, aby nie wydawać na marne naszych żywych sił narodu — jest już przez rząd polski otoczona należytą opieką. Organem, który nad tem zagadnieniem czuwa, jest Urząd Emigracyjny przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, kierujący polityką naszej emigracji. Oprócz oficjalnych czynników, które z natury rzeczy muszą mieć największy głos w sprawach emigracji zamorskiej, obecnie zaczyna się przejawiać coraz silniej zdrowa inicjatywa prywatna, poszukująca jak najwygodniejszych koncesyj dla polskiej emigracji zamorskiej. Jest to tem bardziej ważne, gdyż nie ustają wysiłki tajnych organizacyj szalbierskich, które, podsycając dziką emigrację w Polsce, wyłapują nieświadomy żywioł ludzki, zachęcony fantastycznemi obietnicami, i pod tą pokrywką uprawiają niegodny proceder handlu ludźmi. Dzika emigracja rozwija się dziś poważnie do Chili, na Kubę oraz częściowo do Peru.

Dziś można już twierdzić, że sprawa emigracji z Polski stała się zagadnieniem dojrzałem i dlatego wymaga jednolitej polityki emigracyjnej, oczywiście takiej, któraby zdrową inicjatywę prywatną opartą na kapitale polskim przy odpowiedniej kontroli Rządu podtrzymała, a jednocześnie uniemożliwiła proceder dzikiej emigracji, najbardziej krzywdzącej naród i państwo.

Dokładne studja i badania podłoża emigracji wyjaśniają, iż nasze położenie gospodarcze oraz nadmierny przyrost ludności w Polsce zazębiają się bardzo ściśle i samorzutnie już wyłaniają konieczność polskiej emigracji zamorskiej. Wystarczy bowiem zestawić cyfry przeciętnego przyrostu ludności w Polsce, około 450.000 głów rocznie, z cyfrą 150.000 emigrujących z kraju. Trudno więc nie domagać się, aby żywioł ten był kierowany bez przyszłości dla interesu państwa jedynie dla zasilenia interesów obcych krajów, posiadających kolonje. Zagadnienie to niejako naturalnie stawia kwestję posiadania własnych kolonij polskich na porządek bieżących najważniejszych spraw państwowych i społecznych. Dotychczasowa emigracja polska do Brazylji, Argentyny, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Afryki północnej, Francji i Niemiec jest typowym przykładem tego, jak państwo, potrzebujące silnej emigracji, niewiele lub nic nie osiąga stąd dla swej przyszłości. Że zrozumienie tej sprawy coraz bardziej zaczyna przenikać do świadomości społeczeństwa, wskazywać może fakt, iż coraz częściej słyszymy wymagania, kierowane do emigrantów zamorskich, wyjeżdżających z Polski. Staje się zrozumiałe żądanie społeczne, aby emigracja zamorska stała się „kadrą bojową", która powinna swem poświęceniem, pracą i doświadczeniem stać się trwałą i mocną placówką gospodarczą dla naszego handlu zagranicznego. Właśnie nie kto inny, a nasi emigranci w kolonjach polskich powinni trudnić się dostarczaniem Polsce tak potrzebnych, a drogo od pośredników zagranicznych nabywanych surowców, jak: bawełna, kawa, kakao, kauczuk, drzewa szlachetne i t. d. Nie trzeba chyba udowadniać, jakiby to miało wpływ na nasz bilans handlowy, bo przy warunkach istnienia polskich kolonij obiegową walutą byłby złoty polski. Również zakładane fabryki dla przeróbki surowca wzmogłyby poważnie finansowo-gospodarczą stronę naszego państwa, a może zupełnie nawet usunęłyby ciężkie zagadnienie bezrobocia w kraju.

Z tej więc racji należy dążyć do jak największego i gruntownego zainteresowania ogółu zagadnieniem kolonij. Jednakże chociaż sprawa emigracji i kolonjalnego zagadnienia wygląda tak nęcoco, należy działać z wielką powściągliwością, aby dla złudy interesów nie wybierać tanich, choć łatwo przystępnych terenów, gdzieby warunki klimatyczne oraz terenowe paraliżowały wyniki, pożerając, jak moloch, nasze siły ludzkie. Kwestję tę powinna rozstrzygać ścisła nauka, a nietylko rentowność kapitalistyczna.

Rękojmią tego, że sprawa emigracji polskiej nie zejdzie na manowce, jest pocieszające zjawisko, iż w Polsce badanie zagadnienia emigracyjnego oraz opieka nad wychodźcą nie są pozbawione pozytywnego gruntu. Mamy bowiem szereg instytucyj, które tej żywej i, powiedzmy, jutrzejszej kwestji nie zaniedbują. Są to Państwowy Urząd Emigracyjny, Naukowy Instytut Emigracyjny, Polskie Towarzystwo Emigracyjne, Liga Morska i Rzeczna i wiele innych.

Również nie zapomina się u nas o piekącej i z dnia na dzień coraz aktualniejszej sprawie, t. j. o polskich własnych kolonjach. Oto przy Lidze Morskiej i Rzecznej powstała ruchliwa organizacja, t. zw. Związek Pionierów Kolonjalnych, który staje się mimo woli awangardą szturmową tego dla Polski pierwszorzędnego zagadnienia. Hasłem pionierów jest — Polska musi mieć swoje kolonje zamorskie. Emigracja polska winna głównie odpływać do własnych kolonij polskich.

Polskie osadnictwo zamorskie — czyby to była emigracja do zakupionej Angoli, czyby szła do polskiej spółdzielni kolonjalnej w Peru — nie zabezpieczy nigdy wystarczająco zagadnienia naszej emigracji, poprawy gospodarczej i finansowej, jak też nie zabezpieczy ludzkich sił żywych naszego narodu w stosunku do interesu mocarstwowości naszego państwa. Gwarancją na tem polu może być tylko własna kolonja polska.

Powstaje tedy zagadnienie, czy mamy i jakie na to widoki polityczne.

Znaczek Ligi Morskiej i Rzecznej na fundusz kolonjalny



Związek Pionierów Kolonjalnych Sekcji Ligi Morskiej i Rzecznej wydał specjalne znaczki na fundusz kolonjalny. Znaczki te są do nabycia w sekretarjacie Sekcji Kolonjalnej Ligi Morskiej i Rzecznej przy ul. Królewskiej Nr. 9 w cenie 10 i 50 groszy.

Zebrane w ten sposób fundusze przeznaczone będą w całości na akcję, związaną z propagandą polskiej myśli kolonjalnej.

W chwili obecnej poza granicami Polski przebywa zgórą 7 miljonów Polaków. Rocznie wyjeżdża z Polski przeszło 150 tysięcy obywateli naszych. Musimy wobec tego dążyć do skoncentrowania żywiołu polskiego na obczyźnie. Musimy posiąść za oceanem tereny pod nieskrępowaną ekspansję gospodarczo-ludzką dla naszego narodu. Musimy posiąść własne polskie kolonje.

Nietylko mamy dobre widoki, lecz nawet wyraźne uprawnienie, gdyby Niemcy odzyskali utracone na mocy traktatu wersalskiego swe dawne kolonje w Afryce. Jak wiadomo, w roku 1931 Liga Narodów, sprawująca nadzór zwierzchni nad mandatami kolonjalnemi, ma przystąpić do rewizji tych mandatów, znajdujących się obecnie w rękach Anglji, Belgji i Francji. Otóż obecnie Rzesza niemiecka prowadzi ogromną propagandę na rzecz zwrotu Niemcom kolonij w postaci uzyskania od Ligi Narodów mandatu kolonjalnego dla Niemiec.

Jeśliby tedy państwo niemieckie miało odzyskać swe kolonje, to państwo polskie, w którego posiadaniu jest 10 proc. obszaru dawnego cesarstwa niemieckiego (z tej racji ziemie polskie z pod zaboru pruskiego płaciły narówni z innemi prowincjami niemieckiemi podatki na kolonje niemieckie w Afryce) — ma niezaprzeczalne prawo do odzyskania conajmniej tej jednej dziesiątej części kolonij niemieckich. Ten ułamek obszaru kolonij poniemieckich w Afryce byłby jednak prawie tak wielki pod względem obszaru, jak obecna Rzeczpospolita Polska.

Nie sądzimy tedy, aby społeczeństwo polskie głuche było na rzucone hasło:

— Polska musi mieć swoje kolonje zamorskie!

* * *

Z prawdziwem też zadowoleniem zanotować należy te pierwsze objawy troski społecznej o zrealizowanie tak doniosłego zagadnienia dla naszego narodu i państwa.

Na skutek inicjatywy Związku Pionierów Kolonjalnych — Liga Morska i Rzeczna przystępuje również niebawem do powołania do życia Komitetu społecznego do walki o kolonje dla Polski z centralą w Warszawie.

Oddźwięknął się też Poznań, który na wzór stolicy zakłada u siebie także organizację kolonjalną.

Wkrótce powstaje specjalna sekcja kolonjalna w Paryżu. Prace organizacyjne w tym kierunku prowadzone są z prawdziwym zapałem.

Nie pozostają w tyle i nasze organizacje wojskowe.

W dniu 11 listopada r. ub. w kasynie garnizonowem w Warszawie odbyło się miesięczne zebranie Związku Kaniowczyków, na którem redaktor H. Tetzlaff wygłosił referat o idei kolonjalnej Ligi Morskiej i Rzecznej. Referat przyjęty został przez obecnych z aplauzem. Uchwalono rezolucję, solidaryzującą się z programem kolonjalnym Ligi Morskiej i Rzecznej i jednogłośnie postanowiono zwrócić się do oddziałów Związku Kaniowczyków w celu poparcia akcji kolonjalnej L. M. i. R.

Słowem rozpoczął się już ruch w tej dziedzinie. Oby z jak największym wynikiem dla Polski!

TADEUSZ TESLAR

CZARNE I BIAŁE

O tych, co gnębią ducha!

Aż przykro brać pióro do ręki...

10-letni dorobek odrodzonego życia państwowego Polski, tak świetnie zaprezentowany na Polskiej Wystawie Krajowej w Poznaniu, olśnił wszystkich.

Tak! Ale...

Jest jedna dziedzina, której ubóstwo w stosunku do 30 miljonów ludności w państwie staje się z roku na rok coraz bardziej przerażające — dziedzina książki polskiej.

To już nie królowa ducha, przodująca do niedawna w twardych warunkach codziennej walki z wrogiem, lecz żebraczka, obojętna i o kiju, potykająca się wśród ciżby dzisiejszego społeczeństwa.

Miejmy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy. Książka polska w wolnej i odrodzonej Polsce zeszła na dziady!

Kto winien? Gdzie wrogowie?

*

W pierwszym rzędzie upadek książki i czytelnictwa w Polsce jest wynikiem ogólnej psychozy powojennej, która kult fizyczny, kult ciała, postawiła na naczelnem miejscu zbiorowego życia, spychając na dalszy, często zbyt daleki plan kult i rozwój ducha.

Nie bądźmy źle zrozumiani.

Trudno negować, zwłaszcza w naszych warunkach politycznych, konieczności obronnych państwa i kultu tęgości i krzepkości fizycznej narodu, lecz nie wolno zapominać jednocześnie, iż mózg ludzki, to również taki mięsień, który winien być poddawany stałemu i celowemu treningowi, by także, wyrażając się sportowo, był w dobrej formie. Inaczej wysiłek, skierowany na wychowanie fizyczne, bez ożywienia go walorami entuzjazmu dla wiedzy i ducha, nie przysporzy siły rycerskiej w narodzie.

Po 10 latach nieustannego budowania boisk, organizowania hufców szkolnych, przysposobienia wojskowego, różnych drużyn, instytutów wychowania fizycznego, subwencjonowania pism sportowych — czas wreszcie na założenie instytutu książki polskiej, na ustawę o bibljotekach szkolnych i ludowych, na tanie wydanie sumptem państwa lub przy jego pomocy choćby kilku arcydzieł naszej literatury.

Czyż nie wstyd, iż w całej powodzi inicjatyw i poczynań, oraz nieszczędzenia grosza na dziedzinę wychowania fizycznego, prawie palcem o palec nie ruszono dotąd, by wykazać troskę i opiekę w tej drugiej dziedzinie, conajmniej współrzędnej?

*

Wrogiem książki i rozwoju czytelnictwa w Polsce stała się również nasza prasa.

Nie jest to żaden paradoks, że ci, co zdawałoby się, jak najbardziej winni być zainteresowani w mnożeniu czytelników, pożerających drukowane słowo, wcale nie przyczyniają się do wydźwignięcia książki na należycie górny piedestał, na jakim stała i stanąć musi.

Tak jest, niestety.

Odkąd prasa nasza wprowadziła tasiemcowe recenzje z różnych „fascynujących arcy-superszlagierów" (czy jak to tam jeszcze w żargonie kinowym się mówi?), jak również szczegółowe sprawozdania z meczów, pasując nieomal na bohaterów narodowych różnych żółtodzióbków od kopania piłki nożnej, zabrakło miejsca dla omawiania i sygnalizowania wydanych książek.

Rada na to jest! Tylko tyle udzielać miejsca sprawozdaniom z książek, co filmom i sportom, tylko podawać je w równie interesującej formie, jak opisy tamte, tylko wpajać w czytelnika to przekonanie, że dobra i z talentem napisana książka, to również „wyczyn", niegorszy od sportowego.

Bo i jakiż stąd skutek?

Przyjrzyjcie się bibljotekom na głuchej prowincji, gdzie obok radja książka jest przyjacielem znękanych nutą szarego prowincjonalnego życia.

Jakie książki są wybierane?

Na Dekobrę czeka kilkanaście osób, na Wallace'a to samo, na najlichsze tłomaczenia byle miernot zagranicznych przynajmniej po kilka osób. A po naszych autorów? Tu i owdzie wyciągnie się para rąk, a już jeżeli dwie albo trzy, to sukces niezwykły.

A dlaczego?

Między innemi powód jest i ten, że, o ile każda lichota zagraniczna, jest reklamowana oniemal za pomocą trąb jerychońskich, o tyle o naszych pisrzch i nszej rodzimej twórczości nieco za głucho. Za mało czytamy i wiemy o naszych autorach i naszem piśmiennictwie. A do tego zdarza się niejednokrotnie, iż po przeczytaniu recenzyj o naszej książce, czytelnik nabiera przekonania, iż wogóle książki polskiej nie warto brać do ręki.

*

Wrogami książki i rozwoju czytelnictw w Polsce stali się również po wojnie niektórzy wydawcy.

Niech Bóg litościwy daruje ciężki grzech temu wydawcy, który pierwszy wprowadził u nas tak zwane książki „95-groszowe".

Nie dlatego, że były tanie, gdyż to byłoby zasługą, ale dlatego, że wyglądem książki i doborem treści tak potrafił obrzydzić czytanie w Polsce, jak nikomu to się jeszcze nie udało.

Niech również Opatrzność ma zmiłowanie i nad tymi, co nieustannie zaśmiecają półki księgarskie wołającemi o pomstę tłumaczeniami różnych miernot zagranicznych ze szkodą dla dobrych przekładów dobrych autorów obcych i, co najważniejsza, ze szkodą dla poczytności autorów polskich i rozwoju ich twórczości.

*

Są jeszcze i inni wrogowie książki w Polsce, albowiem jest nim każdy, kto potrafi się obywać bez niej miesiące i lata całe, uważając za luksus każdy wydatek na jej nabycie. A takich wrogów książka ma całe miljony, bo, jeżeli w 30-miljonowem państwie, o dobrej książce dobrego autora, która poszła w 3 tysiącach egzemplarzy, mówi się, że dobrze poszła, to cyfry mówią same za siebie.

O, biedna książko polska!

R. K.

W przeddzień uroczystej rocznicy odzyskania polskiego morza

Czy Polak lubi morze?

Nie, i nigdy nie miał przywiązania do tego cennego klejnotu, na który zawsze czyhali źli sąsiedzi. Zabierali mu go przemocą lub kradli podstępem, a wtedy ubożał i skrobał się po łysinie, że był tak nieoględny.

Kosztowało go to nawet 150 lat hańby i niewoli.

Dziś więc, kiedy odrodziło się państwo, czas już otrząsnąć się z zabójczej obojętności dla morza i pokochać je, bo jest gniewliwe i odchodzi od tych, którzy nie mają dla niego serca.

*
* *

Nieskrępowany dostęp Polski do morza jest jednym z podstawowych warunków jej istotnej niepodległości. Prawdzie tej dała już mocny wyraz w czasie



Gdynia, jako miasto portowe Rzeczypospolitej rozwija się milowemi krokami, wzbudzając podziw gości zagranicznych. Ulica 10 Lutego (nazwana tak na pamiątkę dnia objęcia w posiadanie brzegu morskiego) ma już całkiem wielkomiejski charakter.



Tak wyglądały do niedawna okazałe „budowle" w Gdyni, przechodzące powoli do zabytków, skazanych na zagładę.



Jeszcze tu i owdzie pozostały w Gdyni rudery drewniane, obok których piętrzą się już murowane gmachy.

światowej zawieruchy wojennej słynna deklaracja pokojowa Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, Wilsona. Prawda ta znalazła swe odzwierciadlenie w traktacie pokoju, podpisanym przez pobite Niemcy w Wersalu. Prawdę tę niejednokrotnie potwierdziło życie.

To też ci, dla których niepodległość Polski jest solą w oku, patrzą pożądliwie na ten szmat polskiej ziemi, który łączy cały kraj z morzem. Wiedzą dobrze, że odebranie Polsce w ten, czy w inny sposób Pomorza, doprowadziłoby nieuchronnie do jednego — do upadku jej niezawisłości.

Do walki otwartej przeciw Polsce, przeciw jej niepodległości, wystąpić nie mogą. Inne są dzisiaj czasy. Hasła imperjalistyczne nie mają dzisiaj popularności na świecie. Dlatego walczą z obecnym stanem rzeczy perfidnie. Wysuwane są hasła gospodarczej natury, czyni się karkołomne ewolucje umysłowe, celem udowodnienia braku praw ze strony Polski do posiadania ziem pomorskich, był czas, kiedy próbowano udowodnić, że dostęp do morza jest dla Polski kłopotliwym podarkiem, którego nie potrafi należycie wyzyskać. Montuje się wielki aparat propagandy antypolskiej, mobilizuje się zastępy publicystów i uczonych, byle tylko wmówić w opinję świata fakt rzekomej krzywdy Niemiec.

Zwłaszcza w ostatnich czasach jesteśmy świadkami wzmożonej akcji przeciwpolskiej. Główna tego przyczyna — to spokojne i rzeczowe stanowisko w tej sprawie Polski. Na zajadłe ataki retoryczne Niemiec na kwestję t. zw. „korytarza" Polska odpowiada wymową faktów, wymową wytężonej pracy. Z opuszczonego, zaniedbanego szmatu ziemi czyni kwitnącą pracą i ruchem dzielnicę. Kilkudniowa wycieczka zagranicznych gości po Pomorzu i po wybrzeżu rozbija w puch knusztowną robotę kilkuletniej propagandy. Rzeczowe artykuły o Gdyni i o polskiem wybrzeżu, wraz z wyrazami szczerego podziwu dla polskiej pracy i jej rozmachu, coraz częściej pojawiają się w prasie państw zachodnich. Są to głosy tem cenniejsze, że powstają samorodnie, bez jakiejkolwiek najczęściej inicjatywy ze strony Polski w tym kierunku.

Na wzmożone ataki z tamtej strony musimy odpowiedzieć kontrofensywą. Na argumenty Niemców muszą się znaleść silniejsze argumenty polskie.

*
* *

Święcenie 10-ej rocznicy odzyskania polskiego morza winno się stać uroczystością narodową w całej Polsce. Uczmy się kochać morze i otaczać je troską i opieką. Zaprawiajmy do tego zwłaszcza młode pokolenie, aby nie szło śladami ojców i dziadów, którzy, straciwszy morze, pochylili kark pod hańbiące jarzmo niewoli.

*
* *

Zadbała o to Liga Morska i Rzeczna, inicjując specjalną Sekcję Młodych Miłośników Morza, otoczoną, jak się należało spodziewać z góry, opieką władz.

Nie ulega kwestji, iż społeczeństwo jak najchętniej usiłowania te poprze.

Już wypracowano regulamin. Sekcja Młodych zaczyna działać i żyć.

Członkami czynnymi Sekcji Młodych Miłośników Morza będą mogli być uczniowie i uczennice gimnazjum wyższego. Członkowie czynni dzielić się będą na 4 grupy: I-a pływaków — obejmująca rocznik pierwszy; II-a wioślarzy młodszych — obejmująca jeden względnie dwa roczniki następne; III-a — wioślarzy starszych (rocznik III względnie IV) i IV-a — żeglarzy (rocznik IV, względnie V).

Podstawową jednostką organizacyjno-techniczną będzie t. zw. „łódź", t. j. taka ilość członków, jaka będzie potrzebna do utworzenia najmniej pojedyńczej, a najwyżej trzykrotnej obsady łodzi danego typu. „Łodzie" i tworzone przez nie flotyle danej szkoły mieć będą specjalnych instruktorów.

* * *

Piękna inicjatywa Ligi Morskiej i Rzecznej zbiega się doskonale z uroczystością 10-lecia odzyskania morza.

ESTONJA SKŁADA WIZYTĘ POLSCE

Gość w dom — Bóg w dom!

Tem życzliwiej i serdeczniej brzmią te piękne słowa, wyjęte z ust naszych ojców i dziadów, zwłaszcza gdy gość jest miły i pożądany i gdy poza oficjalnością wizyty urzędowej dźwięknąć może serce i szczera przyjaźń.

A tak jest...

Zapowiedziana na dni już najbliższe wizyta Prezydenta Republiki Estońskiej, który będzie gościem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i zamieszka na zamku w Warszawie, poza charakterem reprezentacyjnym ma nutę serdeczności, opartej na obopólnej sympatji i wzajemności interesów politycznych.

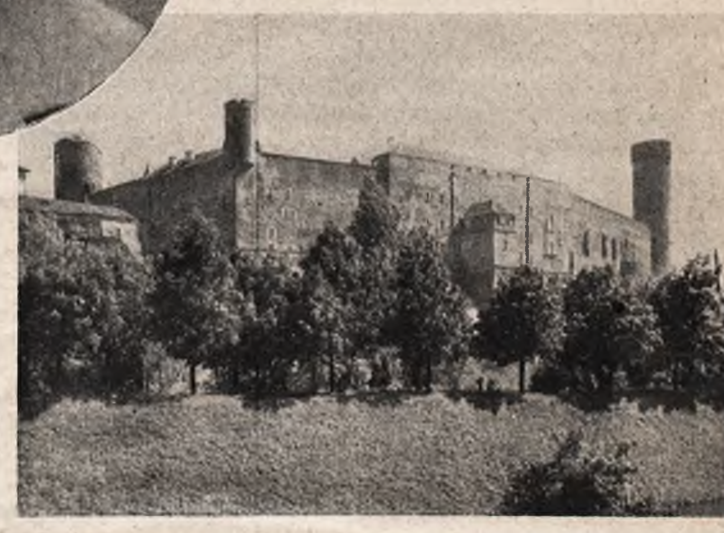
*

Prezydent Estonji
OTTO STRANDMAN





Tallin — stolica Estonji — odznacza się wyjątkowem pięknem i jest wspaniałym zabytkiem historycznym.



Gmach parlamentu w Tallinie, datujący swe pochodzenie jeszcze z XIII wieku.

Sympatja płynie choćby stąd, iż długa noc niewoli, która trwała w Polsce 150 lat, w Estonji trwała znacznie dłużej. Ci sami wrogowie gnębili Estonję. Estowie, o których już Tacyt pisał, że lepiej uprawiają ziemię, niż barbarzyńscy Gotowie, całkowicie zostali przez nich ujarzmieni. Przez pewien czas rozjaśnia się horyzont życia narodu estońskiego pod łagodnemi rządami Szwecji, a zwłaszcza Polski, do której na pewien czas była przyłączona Estonja, jako tak zwana Kurlandja, i Stefan Batory bronił estońskich kmieci „przed brutalnością niemieckich panów". Niemniej dotkliwie od Niemców gnębili również Estonję ostatni jej władcy — Rosjanie.



Generał Johan Laidoner, dowódca sił zbrojnych Estonji w czasie wojny o niepodległość.

Jednak w latach wojny światowej nieugięty mimo wszystko naród estoński wywalczył sobie niepodległość.

* *
*

Wzajemność interesów Estonji i Polski — to wspólna straż nad Bałtykiem i tworzenie barjery, odsadzającej Niemcy od Rosji. Ma to wagę i znaczenie nietylko dla Polaków i Estów lecz i dla pokoju całego świata. Zadanie ciężkie i odpowiedzialne, wymagające tem większego zbliżenia wzajemnego dla celów obrony, gdyż obaj wrogowie są zawsze groźni: Rosjanin z azjatyckim pędem do rozboju i łupiestwa oraz Niemiec z pasją nakładania jarzma i brutalizowania innych.

* *
*

Odrodzenie Estonji przygotowywało się w ciągu ostatnich 50 lat przed wybuchem wojny światowej. Naród, jakgdyby przeczuwając rychłe zrzucenie kajdan, gorączkowo zabrał się do pracy nad sobą. Rozwinął wszechstronną akcję oświatową, tępiąc doszczętnie analfabetyzm i rozmiłowując najszersze warstwy społeczeństwa w potrzebie czytania. Święci to dziś zwłaszcza, w latach młodej niepodległości, prawdziwy triumf. Obywatel estoński jest zrównoważony, świadom swych zadań i życia publicznego, niełatwo idący na lep fałszów i demagogji. Zaznacza się to również w rozpowszechnieniu prasy, która, pomimo, iż Estonja liczy 1.200.000 ludności, posiada szereg pism, liczące po kilkadziesiąt tysięcy prenumeratorów.

*

Niemało przyczyniła się też do odrodzenia narodu i kraju ojczysta literatura, otoczona specjalną troską i opieką ogółu.

Łagodne stosunkowo warunki klimatyczne, mimo północy dzięki przepływającego u brzegów Golfstromowi, bujniejsza roślinność, cieplejsze promienie słońca — włożyły uśmiech na usta narodu i uczyniły go wrażliwym na piękno. Stwierdzają to bardzo obfite podania, klechdy, bajki i opowieści ludowe, a także zamiłowanie do pieśni, uprawianej powszechnie w Estonji w licznych chórach, które są nieodzowną organizacją w każdej prawie wiosce.

Prawdziwy kraj, poezji i pieśni.

*

I dlatego wizyta i świadczenie sobie przyjaźni przez obu Dostojników naszych państw i naszych narodów budzi jak najżywszy oddźwięk w całem społeczeństwie polskiem.

Prezydent Republiki Estońskiej będzie gościem nietylko Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, lecz i całego polskiego narodu.



Karol Einbund, obecny prezes parlamentu estońskiego, wybitny polityk.



CZERWONE RÓŻE

ST. JERWICZ



Pilot zamknął drzwi kabiny. Pani Ziuta szybko otworzyła okienko. Z licznej grupy, odprowadzających ją satelitów posypały się śmieszki i dowcipy, zwykła zdawkowa wesołość, którą ludzie skracają przeciągnięte chwile pożegnań. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zawarczał motor. Z piekielnym hałasem szykował się mały aeroplanik do lotu, głusząc wszystko i zmuszając nawet mało nerwowych, do odstąpienia o kilkadziesiąt kroków. Wychylająca się z okna buźka Ziuty była różowa i wesoła, choć nozdrza maleńkiego noska lekko wibrowały. Bawił ją ten odjazd i zaśmiała się głośno, gdy wszyscy, nagłym objęci strachem, rozpierzchli wokoło malejąc z błyskawiczną szybkością w jej oczach. Podobne do spłaszczonych grzybów, krótkie figurki zawzięcie machały kapeluszami i chustkami.

Aeroplan zataczał wielkie kręgi. Znikły drobne plamki ludzi. Jeszcze raz zamajaczyła szachownica domów, zalśniła srebrna nitka wody, przemknął szarozielony skrawek pól. Na twarz Ziuty zaczęły się kłaść wilgotne obłoki. Mimo wczesnej jesieni, zrobiło się chłodno. Nieznośny warkot motoru zmusił ją wkońcu do zamknięcia okna.

Wewnątrz było stosunkowo cicho. Ziuta westchnęła z rozczarowaniem. Kabina była brzydka, kanapka niezbyt wygodna. Czekały ją conajmniej dwie godziny nudy. Wybierając ten sposób podróży z Warszawy do Gdańska liczyła na jakąś sensację, na silny wstrząs nerwów, za którym ta, pozornie dziecinno-pogodna kobieta, całe swe życie goniła. Czuła się zawiedziona. Nawet zawrotu głowy nie sprawiło jej to szybowanie wzwyż. Odwróciła się od mknących za oknem szarych cielsk chmur. Czytać się jej nie chciało.

Jedyny towarzysz podróży siedzący przed nią, zatopiony był w płachcie wielkiej gazety. Zielono-złote oczy Ziuty, porównywane przez jej wielbicieli do oczu pantery, zawisły na jego szerokich plecach, potem przebiegły po czarnych włosach, błękitnawym, pogodnym karku i małych uszach. Próba magnetyzowania go wzrokiem nie powiodła się. Wtedy poirytowana poczęła z rumorem przesuwać walizkę, urozmaicając tę nużącą czynność bezustannem otwieraniem i zamykaniem okienka.

Wreszcie, gdy już zwątpiła o możliwości poruszenia go, pozbawiony nerwów osobnik gwałtownym susem przesadził poręcz swego fotela i stanął przed nią. Był wysoki i musiał się mocno pochylić, aby nie uderzać głową o niski sufit wehikułu. Ziuta tuż obok siebie zobaczyła twarz o kanciastych, mocnych konturach; skrzywione drwiące usta i niepomiernie wielkie, czarne oczy o ciężkich powiekach.

— Czy pani się źle czuje, czy też postanowiła rozbić tę szybkę? — spytał obcesowo.

— Ani jedno, ani drugie, nudzę się tylko rzuciła, mrużąc zalotnie ciemnozłote rzęsy.

— Hm, piękna pani się nudzi, piękne panie się często nudzą...

Opadł na kanapę obok Ziuty i choć potrącił ją kolanem, nie przeprosił.

— Pragnie pani tedy, abym ją zabawiał. I uważała pani za stosowne zmusić mnie do tego przez trzaskanie oknem z wytrwałością godną lepszej sprawy?

Lekceważący ton drażnił Ziutę, ale zainteresowana jego niepowszednią urodą, cisnęła mu najczarowniejszy ze swych uśmiechów i, zdejmując ze złotej czuprynki szpecącą skórzaną czapkę, energicznie skinęła głową.

— Pani zamierza cały czas w milczeniu kiwać głową, słuchając miłych słówek?

— Dotychczas nie powiedział mi pan ani jednego miłego słowa — zauważyła spokojnie.

— Nie? Sądziłem, że tak. Powiedziałem pani przecież, że jest piękna. Ale to się mówi wszystkim kobietom. Przytem to nieprawda. Pani jest śliczna, ale wcale nie piękna.

Zbita z tropu tem oświadczeniem nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrząc na niego, spostrzegła nad krzaczastą brwią przy lewej skroni małą ale bardzo głęboką bliznę.

— Zkąd pan to ma? — spytała, prawie dotykając palcem jego brunatnego czoła.

— Co? Ach, bliznę. Z pojedynku.

— Taka blizna z pojedynku?

— Prawdopodobnie. Albo z polowania na lwy. A może, jako dziecko upadłem na ostry kamień. Czy pani nie wszystko jedno?

— Najzupełniej. Szukam jednak tematu do rozmowy, bo pan jest mało zajmujący.

— Dziękuję. Może się pani nie trudzić. Nie nudzę się i bawić mnie nie trzeba.

— Czy pan zawsze jest tak uprzejmy dla kobiet, jak dla mnie w tej chwili?

— Rozmaicie bywa. Potrafię nawet być niezmiernie uprzejmy. A votre service, madame. Każe mi pani stać się agresywniejszym? — zaśmiał się chropowato, patrząc na milczącą Ziutę.

— Nie należy jeździć aeroplanem pragnąc piorunująco działać na mężczyzn, bowiem akompanjament huczącego motoru mało usposabia do flirtu. A czy wolno spytać, czemu pani wybrała ten, skazujący ją na moje towarzystwo, rodzaj lokomocji?

— Chciałam... — zawahała się, poczem dokończyła prędko — myślałam, że to da sensację.

— Sensację? Śliczna, różowa pani lubi sensacje? No i cóż?

— Nie. Nawet niedobrze mi nie jest. Mam wrażenie kąpieli w mleku.

— Porównanie trafne — potwierdził, spoglądając na pobielałe szyby — ale niezbyt poetyczne. Zatem sensacji pani szuka? I ponieważ ta głupia maszyna zawiodła, żywi pani nadzieję, że ja jej takowej dostarczę? Mogę spóbować. Nie wiem tylko, jak sięgają pani fałszywe apetyty. Pewnie pani już spostrzegła, że jestem mało inteligentny.

— Źle wychowany prędzej. Ale mało inteligentny?...

— Jedno i drugie. Niestety, cudna pani. Albowiem jako syn rzeźnika, zwyczajnego, ordynarnego bydłobójcy, spędziłem dzieciętwo i pół młodości w rzeźni...

Ziuta cofnęła się mimowoli w głąb kanapki. Roześmiał się krótko.

— Czyż to już nie sensacja? Okropna myśl, że się siedzi obok rzeźnika?

— Bynajmniej — rzekła, wydymając pogardliwie usteczka.

— A gdybym pani oznajmił, że jestem potomkiem starożytnego rodu, że moi przodkowie przegrali i przepili magnackie fortuny, że za czasów pańszczyzny wprzęgali chłopów do swych pojazdów zamiast koni, bezcześcili kobiety, katowali do śmierci ludzi...

— Phii — jeszcze pogardliwiej wydęła usteczka Ziuta.

— I to pani nie bierze? A jednak pożera panią ciekawość dowiedzenia się kim jestem. Księciem, podróżującym incognito — czy kelnerem?

— Nie interesuje mnie to ani trochę — skłamała — nic w panu niema ciekawego.

— Śmiem wątpić w prawdę jej słów. Słaba z pani komedjantka. Nie bawiąc się jednak w ciuciubabkę, oświadczam, że jestem profesorem tańca i gry na gitarze. Przyczem bezsprzecznie mistrzem w swym fachu. Rozczarowana bardzo?

— Kłamie pan. Od czasu, gdy pan zaczął mówić, kłamie pan bezczelnie.

— A pani chciałaby sobie urozmaicić podróż spowiedzią mego życia? Może znalazłoby się w niej i coś sensacyjnego. Sądzę jednak, że pani woli sensacje bezpośrednie?

— O tak. Stanowczo.

— Poza tem przykro pani, że nie pytam o jej socjalne stanowisko. Ale to mnie nigdy nie interesuje w kobiecie. Każda taka mała, żądna wrażeń żonka tłustego burżua...

— Nie jestem niczyja żona — przerwała mu szybko.

— Zatem rozwódka lub wdowa, bo na dziewicę mamy cokolwiek za dużo odwagi...

— Nie jestem rozwódka, a tem mniej wdowa — przerwała mu znów.

— To doskonale. Nie lubię wdów. Tedy miła separatko, czy też osobo nie pozostająca w żadnym urzędowym stosunku do płci męskiej, jakże to będzie z tą sensacją?

— Nie będzie jej wcale. Trudno, tyle razy się zawiodłam.

— Biedaczka! Nie trzeba tak prędko rezygnować. Bywają niespodzianki. Ot, gdybym tak teraz schwycił panią wpół... otworzył te drzwiczki, one się otwierają bardzo łatwo, i rzucił panią w przepaść? Ewentualnie mógłbym jej towarzyszyć. Czy to byłaby sensacja?

Ziuta zagryzła usta. Wyraźnie nieprzyjemny stawał się ten człowiek. Była trochę blada, ale zachowując zimną krew, odpowiedziała ze sztuczną obojętnością:

— Nie. Wszak potem mnieby już nie było, nie mogłabym więc ocenić siły wrażenia. Chcę zachować świadomość takiej sensacji,

aby móc ją wspominać i to zawsze z jednakowym dreszczem.

— Dreszczem rozkoszy, czy strachu?

— To wszystko jedno. Ale prędzej strachu?

— Czyżby? A prawda: pigment jasny — brak temperamentu. Montegazza utrzymuje... Ale pani pewnie to czytała. Kobietki lubią go. Montegazza, Lombroso, Kraft-Ebing — to podnieca. Zresztą niekiedy ta lektura jest pożyteczna... A zatem nie chce pani próbować fruwania bez skrzydeł? Słusznie. Szkoda tych ocząt na kąpiel w mleku. Skąd pani je właściwie wzięła? Takie oczy miewają syberyjskie, rasowe koty.

— Pantery, niegrzeczny panie.

— Pantera ładniej brzmi. Obcowanie z kobietami bywa wprawdzie mniej kłopotliwe. Chociaż i one udusić mogą. Doprawdy żałuję, żem pani nie spotkał wcześniej. Byłbym panią zabrał w świat...

— Mnie? Panby zabrał? Pan sądzi, że bylabym pojechała?

— Pojechałaby pani. Bezwzględnie. Proszę nie przeczyć. I dziśby pani pojechała, gdybym zapragnął tego. Ale teraz mi już nie trzeba pani. A jednak, jeżeli kiedyś, w dzikiej puszczy, spotkam zwierza z jej oczyma, nie będę go mógł zabić...

Ziuta chciała odparować jakąś banalnością, ale spojrzawszy na niego, milczała. Dyszał ciężko. Pod wielkiemi powiekami dziwnie migotały oczy. Minuty milczenia wydały się jej wiecznością. Uchyliła okna. Pod ukłuciem powietrza cofnęła się.

— Jesteśmy teraz prawie tysiąc metrów nad ziemią. Jeszcze półtorej godziny. Pani wie, że przez półtorej godziny dużo się może stać. I tam na ziemi i tu w obłokach?

— Wiem — odparła i nagle zalękła się czegoś. Zbladła jak papier.

— Zdaje się, że sensacja się poczyna. Wszak obiecałem ją pani? — zaszydził.

— Nic, absolutnie nic, pan mie obiecywał — odparła nadrabiając miną.

— No, to teraz obiecuję. Uczułem bowiem niezawodnie, że ją pani dam. Dużo się może stać przez półtorej godziny XX wieku. Nieraz żałuję, nie żyję w epoce dyliżansów, gołębi pocztowych i tem podobnych dobrodziejstw minionych czasów.

Ziuta milczała. Był w niej jeszcze lęk i drgnęła, gdy niespodziewanie chwycił ją za rękę. Zostawiła mu tę drżącą łapkę, nad którą nisko pochylił głowę.

— Takie małe, głupie cacko... — rzekł wolno i nagle przycisnął Ziutę do siebie.

Odepchnęła go gwałtownie. Usunął się natychmiast. Ziutę uderzył wyraz jego odrazu o lata postarzałej twarzy. Ze współczuciem dotknęła zaciśniętej w pięść dłoni. Palce się rozprężyły. Rękę miał kształtną, wielką, o lekko zagiętych drapieżnych palcach. Musnęła szybko. Ponieważ się nie ruszył, spytała zaniepokojona:

— Czy panu słabo?

Podniósł głowę i wpił w nią oczy. Twarze ich były tak blisko siebie, że Ziuta widziała w jego rozszerzonej źrenicy odbicie swej małej twarzyczki. Starała się uśmiechnąć, nie mrużąc ani na chwilę oczu. Wtedy on powoli opuścił powieki i rzekł ciężko:

— Poszukiwaczka wrażeń... Oczy ma pani silne. Pantery i inne dzikie bestje, do których się wybieram, nie wytrzymują wzroku ludzkiego. Pani wie, że jestem hypnotyzerem?

— Mówi pan....

— Mówiłem, zdaje się, że jestem fotografem. Nie pamiętam zresztą. Właściwie jestem jednak hypnotyzerem i magikiem. Mam nawet tutaj — wskazał na kieszeń — mały przyrządzik magiczny o cudnych właściwościach. Otrzymałem go w Montreux od pewnej...

— W tej kieszeni ma pan napewno rewolwer — wypaliła bez zastanowienia Ziuta.

— Zatem i pani posiada dar jasnowidzenia? Tak. Śliczny, mały rewolwerek. Pokazać?

— Proszę — odparła po krótkiej chwili wahania.

Rewolwer był pieścidełkiem, tak maleńkiem, że cały mieścił się w dłoni.

— Ta zabawka zabija. Naprawdę. Coby pani zrobiła, gdybym sobie teraz palnął w łeb?

— Byłoby mi bardzo nieprzyjemnie — rzuciła bez namysłu.

Roześmiał się pierwszy raz serdecznie, bez cienia szyderstwa.

— Kapitlne! Nieprzyjemnieby pani było? C'est le mot: nieprzyjemnie! Coraz bardziej żałuję, że poznaliśmy się dopiero dzisiaj. Pozostała nam godzina i pięć minut. To mało.

Zegarek, na który spoglądał, zastanowił Ziutę. Był staromodny, wielki, ciężko cyzelowany.

— Zegarek mego dziadka, — rzekł, jakby czytając jej myśli. — Był ze mną wszędzie. Niech go pani weźmie do ręki. Ciężki, prawda? Zawsze i wszędzie był ze mną.

Pod dotknięciem zimnego złota, czy też wrażeniem jego słów, rozpostarły się palce Ziuty. Jedna z kopert zegarka, uderzając o podłogę, odskoczyła. Schylił się po niego prędko, ale Ziuta już zauważyła na wewnętrznej stronie koperty małą minjaturkę.

— Czyj to portrecik? — pytała ciekawie, gdy wsuwał zegarek do kieszeni.

— Niema żadnego portretu. Jest obrazek. Nieco sprośny, jak to dawniej lubiono...

Bawił się rewolwerkiem. Nagle otworzył okno i cisnął go w przestworza.

— Skończone — rzekł głucho, przecierając ręką czoło.

— Dlaczego pan to zrobił? — spytała zaskoczona.

— Skończyłem. Co pewien czas się z czemś w życiu kończy. Chodzi tylko o szybką decyzję. Odrzucać trzeba pokusy i nie chwiać się nigdy... Opowiem coś: byłem raz na tonącym okręcie. Burza zerwała szalupy. Została jedna, najmniejsza. Wtedy kapitan własnoręcznie przeciął podtrzymujące ją sznury i puścił na wodę. Wiedział, że jeżeli zginiemy, to wszyscy...

— Niesłusznie postąpił ten kapitan, wszak kilka osób mogło uniknąć śmierci...

— Uniknęliśmy jej wszyscy. Proszę się nie martwić... Ale on postąpił słusznie. Na tę małą łupinę za dużo było tonących. Przeładowana, poszłaby na dno... Słyszała pani coś o sile ciążenia? Przy zbyt wielkim balaście taka łódka, lub rewolwer... Ale mówiliśmy o...?

— Mówiliśmy o tonącym statku. Otóż uważam, że każde życie ratować warto, nawet jedno...

— Warto? Jedno życie? Choćby takie milutkie, różowe życie o złotych włosach i zastraszonych kocich oczach, warto? I takie głupiutkie, czerwone usteczka, co się śmieją, choć krzyczeć chciałyby ze strachu, warto?

Silne ramiona przygarnęły Ziutę. Zwinęła się cała w kłębek, ale nie odepchnęła go. Gorące usta błądziły po jej szyi i oczach. Aż znalazły jej wargi i do nich przylgnęły pieszczotą, w której zapragnęły się stopić. Uścisk jego rąk, oplatujących jej szyję stawał się kleszczowy. Nie czując bólu, zaczęła opadać w bezwolne odrętwienie. Resztką świadomości szarpnęła się i osunęła głowę na jego piersi. Serce mu łomotało.

— Czy to serce tak wali, czy ten stary zegarek? — spytała nagle bardzo głośno.

Odrzucił ją szorstko od siebie. Po długich minutach milczenia, rzekł twardo:

— Nie, to nie serce. To stary zegarek. On nietylko wali, ale ciągle naprzód idzie... Tak. A w tym zegarku... Pani pytała, czyj portret on kryje? Teraz powiem. Portret jedynej kobiety, którą kochałem w życiu. Może ją pani zobaczyć.

Ziuta, jeszcze rozedrgana pocałunkami, z trudem stłumiła łzy obrazy i udając obojętność, drżącemi rękami poprawiła włosy. Nie odwróciła się na dźwięk jego głosu:

— Proszę patrzeć. To dla mnie nic nowego, że kobiety nie lubią słuchać o jedynej miłości mężczyzny, o ile nie mogą w siebie wmówić, że są jej objektem. Ale proszę zobaczyć.

Ziuta patrzała uporczywie w białą ścianę za oknem. Wzruszył ramionami.

— Nie chce pani? No, to za chwilę pani spojrzy. Nikt go dotychczas nie widział. Teraz już pani chce zobaczyć? Tem oświadczeniem przyznaję pani przecież wyjątkową rolę w mem życiu? Może naprawdę jest to pani przeznaczenie. A to wszak przyjemnie? Każda z was chce być inną od wszystkich, wyższą, odrębną? Milszych słów spodziewałaś się, mała kobietko, w takiej chwili? Po słodyczy twych ust poznałem, jak dużo mi dać możesz... Ale ja, mam tylko jeden dar. Mógłbym ci ofiarować moją ostatnią miłość.

— Ostatnią miłość przed wyjazdem do krainy dzikich zwierząt, czy też ludożerców? Ale uprzedzam pana, że murzynki są bardzo tłuste — cisnęła opryskliwie, i jakby nie widząc bolesnego skurczu jego ust, roześmiała się.

— Nie zastanawiałem się nad budową murzynek. Muszę jednak zaznaczyć, że czasami lepiej przemilczeć, niż powiedzieć jakąś podłostkę. Teraz proszę nic nie mówić, słuchać i zamknąć oczy. Widzi pani? Szałas z liści pod czarnem, afrykańskiem niebem. Nas tylko dwoje. Nagle lekki trzask gałęzi. To skrada się lew. Tulę małą, o tak jak teraz... Myśli, że jest bezpieczną, lecz serce, które wie często więcej, niż głowa, trzepoce lękiem. Bezszelestnie rozchylają się konary. Gorzeją ślepia, zieje ża-

(Dokończenie na str. 14-ej).

NA MARGINESIE MORSKIEJ KONFERENCJI ROZBROJENIOWEJ W LONDYNIE

30.000.000 złotych na dobę!

Tylko 30.000.000 złotych na dobę (słownie: trzydzieści miljonów) wydają mocarstwa morskie na budowę nowych okrętów.

Tak wygląda rozbrojenie...

Nic też dziwnego, że najsilniejsze nawet budżety państwowe pękają pod takim ciężarem i, chcąc nie chcąc, trzeba myśleć nie tyle o rozbrojeniu, ile o powstrzymaniu dalszych zbrojeń.

Obecna konferencja rozbrojeniowa morska, odbywająca się w Londynie, jest dalszym ciągiem konferencji, jaka odbyła się już w roku 1922 w Waszyngtonie, doprowadzając wielkie mocarstwa do podpisania zbiorowej wiążącej wszystkich umowy.

Umowa ta jednak miała charakter niekompletny, powstały wskutek silnych tarć pomiędzy konferującemi stronami.

Każde z mocarstw, biorących udział w konferencji, dążyło wszelkiemi siłami do utrzymania swego stanu posiadania kolonjalnego. Utrzymanie jednakże kolonij wymagało utrzymania w swojej wyłącznej zależności tych szlaków morskich, które łączyły wspomniane kolonje z ich metropoljami. Wobec tego Anglja dążyła do uzyskania prawa władania na szlaku atlantyckim, łączącym ją z Kanadą, afrykańskim, wiodącym na południe, i indyjskim, ciągnącym się przez morze Śródziemne na Daleki Wschód.

Francja pragnęła utrzymać głównie linję, łączące Tulon z Algerem, t. j. mieć klucz od swego afrykańskiego imperjum kolonjalnego.

Japonja, wysyłająca nadmiar swej ludności na południe i wschód, zwracała baczną uwagę na wszelkie drogi, wiodące na Filipiny i archipelag Malajski.

Stany Zjednoczone, uważając bezmierny rynek chiński za naturalną lokatę dla swej ekspansji przemysłowej i handlowej, przedewszystkiem myślały o szlakach na oceanie Spokojnym.

Wreszcie Włochy, zainteresowane w emigracji swej ludności do Ameryki (przez Gibraltar) i na wyspy Dodekanezu, śledziły podejrzliwie wszelkie usiłowania, które mogły je skrępować na szlakach śródziemnomorskich.

* * *

Widzimy więc, że prawie wszystkie szlaki krzyżowały się z sobą, co doprowadzało do ciągłych tarć i, w rezultacie, do kompromisów.

W ostateczności ograniczono tylko jądra flot wojennych, ustalając następujące maksymalne liczby wielkich jednostek bojowych (włączając dreadnoughty): Wielka Brytanja — 20, Stany Zjednoczone — 18, Japonja — 10, Francja i Włochy — po 5.

Od przyszłego roku państwom tym przysługuje prawo zmiany starych okrętów na nowe. Dla Anglji, Ameryki Północnej i Japonji budowa nowych 38 okrętów oznacza wydatkowanie 280 milj. funtów szterlingów. Takiego wydatku nie wytrzyma żaden budżet. To też żądania delegacji brytyjskiej polegają na tem, aby od r. 1931 do 1936 zabronić budowania nowych statków na miejsce starych.

Z danych tych widoczna jest wszędzie supremacja techniczna Anglji. Starają się jej dorównać Stany Zjednoczone. Inne państwa zostały w tyle. W związku z tem inicjatywę dalszego prowadzenia sprawy wzięła na siebie admiralicja Wielkiej Brytanji i zwróciła się do swego głównego rywala na morzu, Stanów Zjednoczonych, z propozycją zwołania nowej konferencji morskiej, któraby ostatecznie załatwiła sprawy rozbrojenia na morzu. Konferencja taka odbywa się obecnie w Londynie. Poza Anglją i Stanami Zjednoczonemi biorą w niej udział również dawni kontrahenci: Francja, Japonja i Włochy.

Konferencja Waszyngtońska załatwiła w całości kwestję panceników, tej podstawy floty wojennej. Panceniki dają panowanie nad morzami, o które tak chodzi poszczególnym zainteresowanym mocarstwom. Lecz pozostała otwarta sprawa krążowników i mniejszych okrętów wojennych, jak kontrtorpedowce i łodzie podwodne. Zadaniem zarówno krążowników, jak i kategoryj mniejszych okrętów, jest utrzymanie łączności na szlakach wodnych, ochranianie własnej marynarki handlowej i niszczenie nieprzyjacielskiej. Użyteczność tych okrętów jest ściśle związana z wielkością szlaków. Im szlak jest większy, tem wyporność okrętu patrolującego musi być większa, bo tem większy jest zasięg jego pływania, innemi słowy musi on posiadać większy zapas paliwa i żywności. Największe szlaki wodne posiada Anglja. Ona też jest najwięcej zainteresowana w kwestji największych okrętów patrolujących, jakiemi są krążowniki.

Największą z pośród wszystkich mocarstw ilość krążowników liczy flota angielska, ma ich bowiem 50, kiedy wszystkie pozostałe państwa liczą ich razem zaledwie 45. W interesie zatem W. Brytanji leży, aby wyporność ogólną krążowników, opartą na istniejącym stanie rzeczy, utrzymać. Dodać należy, że i ogólna wyporność panceników została określona przez Konferencję Waszyngtońską w zależności od stanu, jaki panował w 1922 roku. Zagadnienie kontrtorpedowców i torpedowców jest dla Anglji mniejszej wagi i, prawdopodobnie, zgodzi się ona bądź na stan obecny, w którym ma jedynie serjo konkurenta w Stanach Zjednoczonych, bądź nawet na pewne zmniejszenie swoich okrętów tej kategorji.

* * *

Najwięcej zastrzeżeń nasuwa sprawa łodzi podwodnych. Broń ta, szczególniej niebezpieczna na małych szlakach, albowiem łódź podwodna działa znienacka (co zostało częściowo zmodyfikowane przez Konferencję Waszyngtońską), lecz posiada stosunkowo ograniczony zasięg pływania, a kosztuje niewiele. Stąd też mocarstwa, mające do kontroli niewielkie szlaki wodne, jak Francja i Włochy, a częściowo Japonja, są w wysokim stopniu zainteresowane w utrzymaniu tego rodzaju okrętów. Mocarstwa zaś o wielkich szlakach: Anglja i Stany Zjednoczone, nie przywiązują do zagadnienia łodzi podwodnych takiego znaczenia. Gotowe są one nawet zwinąć ten gatunek broni w marynarce wojennej, oczywiście pod warunkiem, że skasowanie łodzi podwodnych obejmie wszystkich kontrahentów.

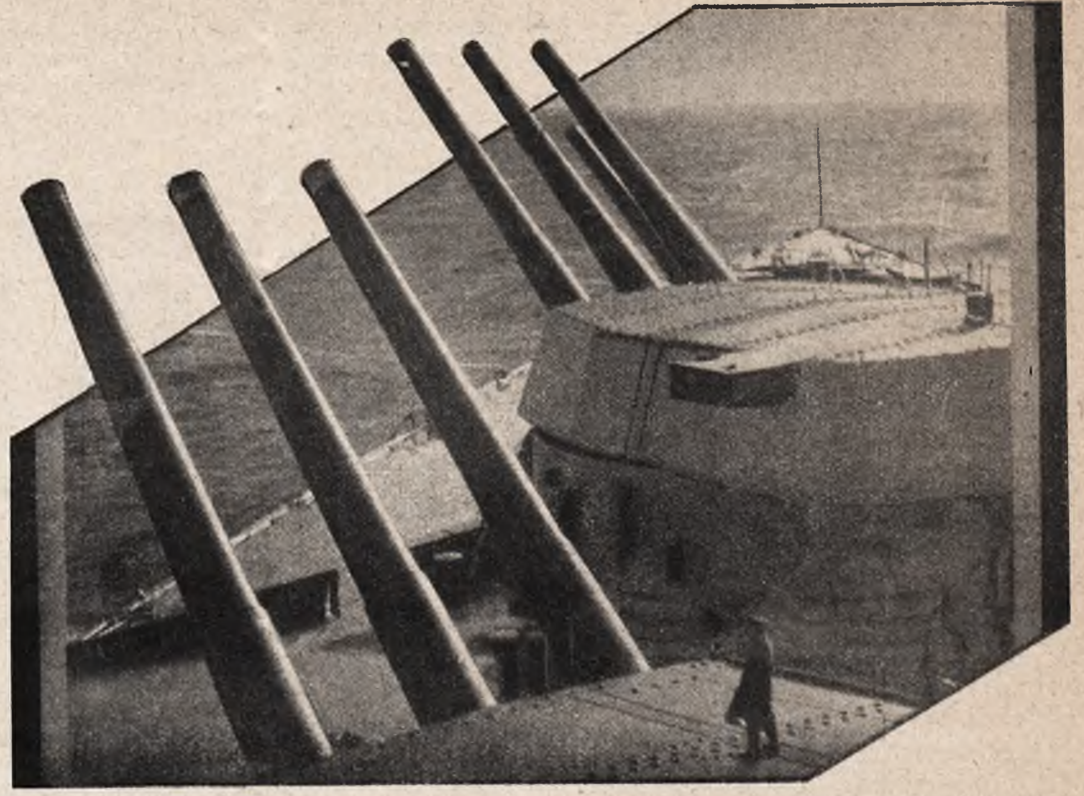
Opierając się na wiadomościach prasowych, przypuszczać należy, że największy spór wywiąże się właśnie koło kwestji łodzi podwodnych.

* * *

Zagadnienia rozbrojenia na morzu ma dla Polski znaczenie większe, niż się na pierwszy rzut oka wydawać może. Znaczenie to jest pośrednie i bezpośrednie. Pośrednie przez to, że w grę wchodzi tutaj nasz tradycyjny sojusznik, Francja. Zmniejszenie siły francuskiej marynarki wojennej jest, oczywiście, w najwyższym stopniu dla nas niepożądane. Jest to niepożądane tembardziej, że prawdopodobnie jeszcze dość długo flota francuska będzie pełniła obowiązki cennego sprzymierzeńca polskiej floty na Bałtyku. Jak było zaznaczone, panceniki francuskie, które istnieją obecnie, ustępują w znacznej mierze pancernikom angielskim, japońskim lub amerykańskim. Krążowników Francja posiada mało. Skasowanie zatem łodzi podwodnych osłabiłoby flotę francuską bardzo dotkliwie.

Co się tyczy znaczenia bezpośredniego, to należy pamiętać o tem, że postanowienia techniczno-wojskowe konferencji londyńskiej, według wszelkich danych, będą rozciągnięte i na inne państwa. Tak było z wynikami konferencji waszyngtońskiej. Skasowanie zatem łodzi podwodnych, od których rozpoczęliśmy budowę naszej floty, poczyniłoby naszej marynarce wojennej kolosalne trudności w samym jej zarodku.

L. M. R.



Symbol rozbrojenia morskiego: najnowszy potężny okręt wojenny angielski.





Imponująca sala posiedzeń, w której odbywają się dyskusje i narady oraz zapaść mają uchwały, obowiązujące wszystkie państwa, nie tyle co do rozbrojenia na morzu, ile co do ograniczenia zbrojeń, których konkurujące ze sobą potęgi morskie nie są w stanie wytrzymać

(Dalszy ciąg ze str. 11-ej).

rem straszna puszcza, lśnią kły. A potem już tylko chrzęst gruchotanych kości... mdławy, słodki zapach krwi...

Ziuta krzyknęła przeraźliwie i wydarła się z jego objęcia. Nie do wytrzymania był ten nadłamany, zduszony głos. Opanował się szybko. Wyjął zegarek.

— Zlękła się? Za trzydzieści pięć minut się to skończy. A tymczasem proszę zobaczyć.

Jak posłuszne dziecko spojrzała Ziuta, na podsunięty jej, portrecik pięknej kobiety.

— Jedyna pana miłość?

— Tak. Moja matka....

— Bardzo piękna — rzekła trochę zawstydzona. — Szkoda, że minjaturka pęknięta w środku.

— To zrobił mój ojciec, wtedy, gdy go opuściła. Chciał zabić wspomnienie. Często dla zabicia wspomnienia nieszczęścia, którego nic zgładzić nie może, sieje się zniszczenie. Może to ucieczka przed własnem sumieniem. Uciekając przed niem często tak daleko się zabrnie, że niema ani powrotu, ani drogi naprzód. Mój ojciec rozłupał tylko tę minjaturkę, a ja... Szukałem jej po całym świecie. Szukałem w kobietach młodych i starych, pięknych i brzydkich. Już się pani nie gniewa, że całując jej śliczne usta, o tamtej myślałem? Pięć lat miałem, gdy odeszła...

Ziuta była cokolwiek wzruszona. Poprzednio podobał jej się jednak więcej. Było w nim wtedy coś drażniącego, jak w powieściach Poego lub Eversa, czytanych o północy.

— Niech się pani nie sili na roztkliwianie nade mną — zadrwił, odgadując jej uczucia — bo to wcale nie jest moja matka. Kupiłem ten zegarek u handlarza starożytności na placu Voltaire w Paryżu. Moja matka była praczką. Praczką, uwiedzioną przez hrabiego, a może tylko przez lokaja. Mówią wprawdzie, że ręce mam arystokratyczne. Czy prawda?

— Ręka jest bez zarzutu, choć zbyt wypieszczona, jak na syna praczki — zadrwiła.

— Bez zarzutu... Raz mając siedem lat, rozbiłem kosztowny wazon w salonie pewnego pana, który zawołał oburzony: „Odrąbałbym ręce temu smarkaczowi..."

— Dobrze, że tego nie zrobił. Szkodaby ich było.

— Pani myśli? Nie, nie szkoda... Dojeżdżamy już piękna pani.

Rzeczywiście, mgły za oknem się przerzedziły, gdzieś w dali złociło się słońce.

— Już? — rzekła z żalem. Czy pan zatrzyma się w Gdańsku. Możebym mogła...

— Pani chce podarować mi tę noc?

— Tego nie powiedziałam. Zatrzymałabym się parę dni w Zoppot. Spotkalibyśmy się...

— Sądzi pani, że lwy w Abisynji mogą na mnie jeszcze poczekać? I tak zdążą mnie schrupać... A życie bywa czasami piękne... bardzo piękne... Gdy ma takie włosy i oczy i te dołeczki na różanych policzkach... gdy...

Przylgnęły do warg Ziuty jego usta. I na chwilę zamknął się dla niej w tych ustach cały świat. Nie czuła, że kołowym ruchem opada maszyna, nie widziała i widzieć nie chciała, że coraz bliższa jest ziemia. Jednak czując, że aeroplan wzbija się znowu w górę, spytała trwożnie, ciągnąc go za rękaw:

— Co to znaczy? Dlaczego się tak kręcimy w kółko na miejescu?

— Kręcimy się? Mała poszukiwaczka wrażeń i ja... kręcimy się — powtarzał nieprzytomnie, ale siłą strząsając z siebie oszołomienie, dokończył spokojnie. — Pewnie pilot zaczął źle lądować. To bywa. Czas się pożegnać. Tedy o dziesiątej wieczorem będę na pomoście w Zoppot. Jeżeli zaś się nie stawię, to wtedy proszę zrozumieć, że przyjść nie mogłem. I że nie znajdzie mnie pani nigdy, jak ja nie znajdę już mego rewolwerka ani tego zegarka, który pani musi wziąć ode mnie.

— Zegarka? Czy pan oszalał? Nie wezmę go za nic w świecie. To warjactwo!

Musi pani. Jako depozyt. Zgłoszę się po niego przecież. A jeżeli nie przyjdę, znaczyć to będzie, że nie jest więcej potrzebny.

Mimo jej gwałtownego protestu, wsunął zegarek do safjanowej torebki. I prędko rzekł:

— Bo to jednak moja matka. Teraz mówię prawdę. Dziękuję i... może dowidzenia...

Nisko skłoniwszy głowę przywarł palącym, długim pocałunkiem do jej ręki.

— Proszę wybaczyć, że się panią w Langfuhrze nie zajmę — rzucił już zimno. Spieszno mi. Panią oczekują?

— Tak sądzę. Brat i bratowa. Ale z tym zegarkiem... zła jestem, to nie ma sensu...

— Będzie miało. Sens się zjawi razem z sensacją.

— — — — — — — — — — — —

Bratowa Ziuty, pani Wandeczka, dąsała się. W Gdyni czekano przyjazdu Ziuty z upragnieniem, a ta uparła się jechać przedtem do Zoppot. Na domiar złego, sprawę Ziuty poparł lekkomyślnie pan Stach, rad, że „skoczy" na godzinkę do kasyna.

Godziny wlokły się, jak ślimaki. Ziuta, wpadając z nadzwyczajnego podniecenia w zupełną apatję, zadziwiała swem zachowaniem nawet brata, przyzwyczajonego do jej wybryków. Ale, gdy mimo lekko mżącego deszczu, zapragnęła spaceru po moście, stracił Stach cierpliwość i uciekł do sali gry, oddając panią Wandeczkę na pastwę rozkapryszonej siostry.

Na pomoście było prawie pusto. Zrezygnowana pani Wandeczka, omijając kałużę, potulnie bawiła Ziutę jakiemiś plotkami, których ta nie słuchała. Ściskając konwulsyjnie torebkę z zegarkiem, przemyśliwała właśnie nad sposobem pozbycia się bratowej.

— Czy już późno? — spytała, choć wiedziała, że jeszcze za wcześnie.

Nie zwróciła uwagi na odpowiedź, ale uszu jej dobiegł odgłos szybkich, energicznych kroków. Puściła ramię Wandy i popędziła naprzód. Bratowa ją dogoniła:

— Nie leć tak, Ziutko. To Stach za nami biegnie. Musimy zaraz jechać.

Ziuta oparła się o balustradę mostu. Szykowała się do ostrego zmonitowania Wandeczki za rozporządzanie się jej wolną osobą, gdy rozległ się zadyszany głos brata:

— Słuchajcie kobietki! Szczególniej ty, Wandulko, bo wiem, żeś się interesowała tą sprawą. Pamiętasz popełnioną w Poznaniu bestjalską zbrodnię? Dzisiaj schwytano w Gdańsku mordercę tej biednej wdowy. Podobno ma moc przestępstw na sumieniu. Dotychczas uchodziło mu wszystko bezkarnie. Internacjonalny zbrodniarz, który grasował przeważnie w wyższych sferach, wkręcając się tam przez kobiety, późniejsze swe ofiary. Grabowski, który przypadkowo był świadkiem aresztowania, mówił, że podał się za barona Meyhoffera. Była taka rodzina podupadłych kurlandzkich baronów w Polsce. Nawet pamiętam jakąś romantyczno-tragiczną historję o nich. Ale naturalnie nazwisko fałszywe. Grabowski jest przekonany, że to psychopata. Złapano go bowiem, gdy najspokojniej wychodził ze sklepu z kwiatami, trzymając w ręku ogromny bukiet czerwonych róż. A przecież wiedział, że rozesłano za nim listy gończe. Mógł doskonale ukryć się w porcie, tembardziej, że miał wszystkie papiery na wyjazd do Afryki, a dziś odchodził jego parowiec do Francji.

— E, to może wcale nie on. Poczem go zresztą poznali? — spytała ciekawie Wanda.

— Napewno on. Nie zapierał się bynajmniej. A poznali go po jakiejś bardzo znamiennej bliźnie nad lewem okiem... Ziutko...! Co ci się stało! Na miłość boską! Ziutko!...

Pani Ziuta zemdlała.



MARZY MI SIĘ PROMIEŃ SŁOŃCA...

Marzy mi się promień słońca,
poprzez szybę łez,
chociaż wicher błękit zmąca,
marzy mi się promień słońca...

Bo wiem — wróci świt, obrońca,
co w pomrokach szczezł —
marzy mi się promień słońca
poprzez szybę łez...

I.

AUTOR I KSIĄŻKA

Przyjaciel książek pośród nagromadzonych przez siebie skarbów





Tak wygląda przyjaciel książek, który posiada zawsze dużą bibljotekę. Bibljoteka jest jego pasją, a każda nowa książka przedmiotem pożądania i tęsknoty, niezaspokojonej dotąd, póki jej nie nabędzie. Nie lubi książek obciętych, ponieważ własnoręczne rozcinanie kart sprawia mu niezwykłą przyjemność. Przy bibljotece spędza każdą chwilę wolnego czasu, a już specjalną rozkoszą jest te kilka godzin, kiedy może zasiąść na dłużej w wygodnym fotelu i niekrępującym szlafroku połykać skarby nagromadzonej mądrości ludzkiej, odruchów serca i talentu pisarzy.

Sybaryta, czy dziwak?

Nie, ani jedno, ani drugie! Tylko człowiek kultury, który rozmiłował się w tem, co stanowi jej nieodłączną cechę. Człowiek nieczytający — to albo blagier, powtarzający zasłyszane, utarte frazesy, albo tępy i obojętny na wszelkie przejawy zbiorowego życia.

Niestety, przyjaciół książek mamy dotąd bardzo niewielu...

WACŁAW LIPIŃSKI — *Na przedpolu historji.* Warszawa 1930. Nakładem Tow. Wydawniczego „P o l s k a   Z j e d n o c z o n a". Skład główny: „Dom Książki Polskiej". Stronic 238. Cena 6 zł.

Książka Wacława Lipińskiego, znanego dziś publicysty - historyka, zresztą, wkraczającej swoistą drogą nieomijania zadrażnień na teren historji, umocnionej autorytetami naukowemi — słusznie otrzymała tytuł *„Na przedpolu historji"*. Przyznać musimy, że ciężką obrał sobie autor pracę prostowania przysłowiowych ścieżek pańskich w imię prawdy historycznej. Zdawać się nam może, że temperament pisarski Lipińskiego nie mało musi sprawiać mu przykrości, jako historykowi-harcownikowi na tem „przedpolu", gdy stateczny osąd prawdy dziejowej i faktów musi miarkować rozpęd jego szpady pisarskiej, maczanej często w żywej dlań współczesności.

Omawiana pokrótce praca W. Lipińskiego jest zbiorem jego ogłoszonych w ciągu ostatnich kilku lat na łamach prasy codziennej i czasopism recenzyj, krytyk i polemik na temat wydanych książek, szkiców i innych publikacyj, które w ten czy inny sposób dotyczą polskiej historji wojskowości czy wojen lub się z nią zazębiają. Gdyby swoich uwag krytycznych, zawsze pisanych pod ostrym kątem, Lipiński nie zebrał w wydanym tomie, wiele ciekawych myśli, spostrzeżeń i omówień, zaokrąglających tło historyczne, wiele sprostowań, ba protestów uzasadnionych przeminęłoby bez wyraźnego echa, dzieląc los każdej wiadomości dziennikarskiej.

Pierwszy cykl recenzyj, zapoczątkowany uwagami, — wprawdzie ogólnemi — nad dotychczasowemi opracowaniami historji polskiej wojskowości, które to uwagi zatytułował sensacyjnie „O d   K o r z o n a   d o   K u k i e l a" — zawiera sporo ciekawych uwag krytycznych do pewnych momentów historycznych dawnej Polski oraz porozbiorowej.

Nie to jednak jest właściwym trzonem opracowań syntetycznych Lipińskiego, oczywiście traktowanych ogromnie bryłowo i z koniecznym pośpiechem i treściwością publicysty. Część drugą stanowią omówienia krytyczne, dotyczące publikacyj z historji naszej współczesności, t. j. walka o niepodległą Polskę. Siłą faktu strona polityczna tej części jest bardzo wyraźna, pomimo to, a raczej może właśnie dlatego historyczna prawda naszego wysiłku zaczątkowego sił zbrojnych na tem bardzo zyskuje.

Nie podzielamy zdania, że książka Lipińskiego ma głównie interesować oficerów czy sfery, z armją zbliżone. Przeciwnie, jeżeli bowiem historja jest „magistra vitae", to dlaczego zacieśniać krąg zainteresowań tym olbrzymim rzeszom nieumundurowanych obywateli, którzy dzisiaj bezpiecznie żyją i spożywają polski chleb powszedni — zaczyniony i wypieczony przez sprawców historji walki o byt niepodległy naszego państwa.

Książka wydana bardzo starannie, a przedewszystkiem wzorowo pod względem graficznym.

Tatar

Agata nad książką

Niech nikt nie sądzi, że Agata nie czyta. Owszem, i to coraz więcej. Już nie ogranicza się tylko do sennika egipskiego i książki porad kucharskich, ale coraz chętniej sięga po romans. Co prawda, musi w nim być kilku oficerów, podoficerów, policjantów i strażaków — słowem wszelkich umundurowanych ludzi — przynajmniej jeden król, ze 3 lub 4 księżniczki i mnóstwo sensacyj.

Wtedy się bardzo, jak widzimy, lekturą przejmuje. Dobre i to. Od sennika egipskiego przeszła do powieści sensacyjnej. Jak się rozczyta, to sięgnie dalej. A o to chodzi.



SPRAWY KOBIECE

Jaki ma być charakter kobiety?

Ogłoszona przez nas ankieta w sprawie charakteru kobiety — jak się okazało — ogromnie zainteresowała szeroki ogół kobiet, czytelniczek „Reduty". Do Redakcji naszej napłynęło już szereg odpowiedzi, z których jedną, jako pierwszą, dziś poniżej zamieszczamy.

Redakcja.

Przeglądając okazowy numer „*Reduty*", z prawdziwą radością zauważyłam dział, poświęcony „sprawom kobiecym". Miło jest stwierdzić, że to nowopowstające pismo, którego zakres — jakby się na pierwszy rzut oka zdawało — dość daleko odbiega od zagadnień życia kobiecego, zrozumiało jednak ich doniosłość i poświęciło im osobną rubrykę. Należy się za to Redakcji podziękowanie od ogółu czytających kobiet, i spodziewać się można, że ankieta: „*jaki ma być charakter kobiety*" wzbudzi żywy oddźwięk wśród Czytelniczek, które tłumnie przystąpią do pisania odpowiedzi.

Trudno jest zabierać głos w pierwszym szeregu, ktoś jednak musi to uczynić, więc choć nie czuję się bynajmniej powołaną do rozstrzygania tak zasadniczych zagadnień, jednakże pragnę rzucić kilka uwag w tej sprawie, tak gorąco nas — kobiety — obchodzącej.

Przychodzi mi mianowicie na myśl, że na kształtowanie się charakteru wpływają jednakże w znacznej mierze zewnętrzne warunki, wśród których obraca się kobieta. Te zaś warunki, mimo że pono „kobieta nie musi już walczyć o swojej stanowisko w życiu i pracy", są bardzo dalekie od idealnych. Dotyczy to zarówno warunków pracy zarobkowej, jak i domowego życia.

Kobieta, która ranek, a nieraz i większość popołudnia spędza przy pracy biurowej lub innem zarobkowem zajęciu, a potem wraca do równie wyczerpującej pracy w domu w tak trudnych obecnie warunkach mieszkaniowych, zasypana tysiącem drobiazgów szarego życia, ma istotnie bardzo mało czasu na systematyczne, świadome rozwijanie charakteru i usamodzielnianie myśli.

Trzeba dużej siły woli i już istniejącego pewnego wyrobienia, aby wobec tylu trudności nietylko nie pozwolić na spaczenie charakteru, ale jeszcze nad nim pracować. To też trudno się dziwić, że pewna ilość pracujących kobiet ucieka po odrobieniu dziennej orki od stałej szarzyzny życia i szuka ujścia w zabawie. Nie można powiedzieć, by były to koniecznie typy kobiet płytkich — zdarza się, że są one powodowane raczej właśnie ładnemi cechami charakteru — bujnością wyobraźni i t. p. — nie znajdującemi ujścia na innej drodze i kierowanemi w nieumiejętny sposób. Egoizm męski często znajduje wiele dróg do poniżenia i załamania kobiety właśnie tego typu, gdyż tryb życia, jaki prowadzi, nie zostawia jej możliwości wyrobienia w sobie tej samodzielności myśli i trzeźwości sądu, które są jedyną skuteczną ochroną przed przeciwieństwami losu.

Istnieje, coprawda, mały stosunkowo procent kobiet, nie zmuszonych do zarobkowania, a z tych pewna ilość potrafiła stworzyć sobie własną, twórczą pracę — inne uległy filisterstwu wygodnego żywota i zapełniają dancingowe sale już nie w poczuciu samoobrony przed szarzyzną swej codzienności, ale poprostu z nudy i przyzwyczajenia. Trudno jest cokolwiek powiedzieć o pracy nad charakterem i usamodzielnieniem tego rodzaju kobiet, gdyż one same mało uwagi tym sprawom poświęcają.

Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi szerzej ująć zagadnienia, w jaki sposób warunki zewnętrzne wpływają na kształtowanie się psychiki kobiecej — ograniczyć się musiałam do wskazania na nie, jako na czynnik nadzwyczaj żywotny, a zdaniem mojem niedoceniany. Sądzę jednak, że dalsze odpowiedzi Czytelniczek „Reduty" bardziej wszechstronnie oświetlą rzucone nam przez Redakcję zapytania: „*jaki ma być charakter kobiety?*".

EUGENJA SALSKA

Miss Polonja na rok 1930



P. Zofja Batycka została ogłoszona miss Polonją na rok 1930.

O przyczynach nieczystej cery

II.

Doświadczenie lekarskie wskazuje, że usposobienie łojotokowe jest dziedziczne; przenosi się ono z rodziców na dzieci. Większość osobników ze skazą łojotokową skóry rodzi się odrazu z odpowiednią do niej predyspozycją. Nadmierna skłonność do wydzielania skórnego nie jest zatem sprawą nabytą, lecz wywołaną przez niekorzystne warunki życia skóry. Do nich zaliczamy przedewszystkiem brak higjeny zewnętrznej, przez co pojmujemy niedostateczne odkażanie i odtłuszczanie skóry, niewystarczającą wentylację oraz wadliwy lub zbyt skąpy dopływ światła.

Na drugim, lecz nie mniej ważnym planie, należy postawić nieprawidłowe odżywianie się z jego skutkami w postaci rozmaitych zaburzeń trawiennych, brak higjeny zębów oraz inne ogólniejsze cierpienia, zwłaszcza natury kobiecej. Tryb życia mieszczan, przebywanie w dusznych ciasnych pomieszczeniach ze słabym dopływem światła, z kurzem, przesyconym drobnoustrojami, odżywianie się nieumiejętne, dorywcze pokarmami zbyt gorącymi z nadmiarem białka zwierzęcego i tłuszczów, złe przeżuwanie, bądź wskutek braku czasu, bądź złego stanu zębów, wreszcie trujące używki, jak alkohol — wszystko to wpływa wielce niekorzystnie i podsyca już istniejącą skazę skórną. Dodajmy do tego niehigjeniczne warunki, w jakich ludzie przebywają z tytułu ich zawodu, a zrozumiemy, dlaczego walka z tą skórą jest tak trudna. To też im wcześniej ją podejmujemy, tem większe osiągamy szanse zapobiegania skutkom łojotoku. Bowiem osobnik, obarczony skazą skórną, przechodzi z niewielkiemi odchyleniami kolejno następujące po sobie etapy: we wczesnem dzieciństwie zjawia się zwykle sucha łupieżyca skóry owłosionej, która w okresie dojrzewania płciowego (to zn. w 15—16 roku życia), przekształca się w łupieżycę tłustą. W tym czasie u młodych ludzi ramiona są stale zasypane drobną tłustą łuską, przy czesaniu zaś z pod grzebienia sypie się obficie łupież. Jednocześnie wzmaga się wydzielanie łoju na twarzy i zakwita trądzik, którego obraz był już opisany wyżej.

U mężczyzn łysienie przedwczesne ujawnia się zwykle później, przyczem sposób łysienia jest zawsze charakterystyczny. Postępuje ono dwoma symetrycznemi kątami, posuwając się powoli ku środkowi głowy od strony skroni. Drugim punktem wyjściowym łysienia łojotokowca jest wierzchołek głowy, gdzie włosy już wcześnie zaczynają się przerzedzać.

Dr. med. ST. HIRSZBERG.

Ostatni „krzyk" mody strojów balowych



Suknia wieczorowa z różowej koronki i chiffonu. Obie te materje są u dołu połączone fałdzisto ze spódnicą. Części skrzydełek w talji przechodzą z przodu w bolero.

Model: Prement, Paryż.

Deseniowy chiffon składa się na tę suknię wieczorową. Ma ona po bokach dłuższe końce. Talja z przodu krótka, materja koło dekoltu lekko drapowana.

Model: L. Paray, Paryż.

Suknia z blado-różowego crêpe-de-chinu; wąska spódnica od kolana w dół jest ozdobiona skośnie umieszczonemi falbankami, a stan opasany, jak u bluzki, ma z tyłu nierówne cape.

Model: A. B.

Suknia z georgetty w nowym kolorze „fiołków parmeńskich" z długiemi, otwartemi ogonami. Stopniowo skracająca się talja posiada z przodu dwie wąskie, luźne części

Model: J. Patou, Paryż.

Suknia z chiffonu w kolorze wiśniowym ma charakter empiru. Wąskie, podwójne falbanki zarysowują krótką talję i krzyżują się na plecach; na dole przy spódnicy szerokie zakładki.

Model: Chantal, Paryż.

Suknia balowa

Suknię wieczorową, zajmującą więcej, niż kiedykolwiek, dominujące stanowisko w stroju kobiety, możemy uważać za wyraz mody na dziś i jutro.

Wydłużone linje, kunsztowne wykończenie szerokiej spódnicy będzie miarodajne dla eleganckich strojów na wiosnę.

Talja, stanowiąca już od dłuższego czasu przedmiot ważnych zmian, będzie jeszcze krótsza, a jej kształt ujawnia się już w różnych kombinacjach. Pod wpływem empir'u powstaje tuż pod piersiami prowadzona linja, uwydatniająca się przez szwy i plisy, miększy, bluzkowy rodzaj z paskiem i charakterystycznie drapowanym dekoltem, krótkie bolero, które tak korzystnie okrywa, a jednak działa, jako skrócona linja talji.

Tył sukni zwsze bardzo różni się od przodu.

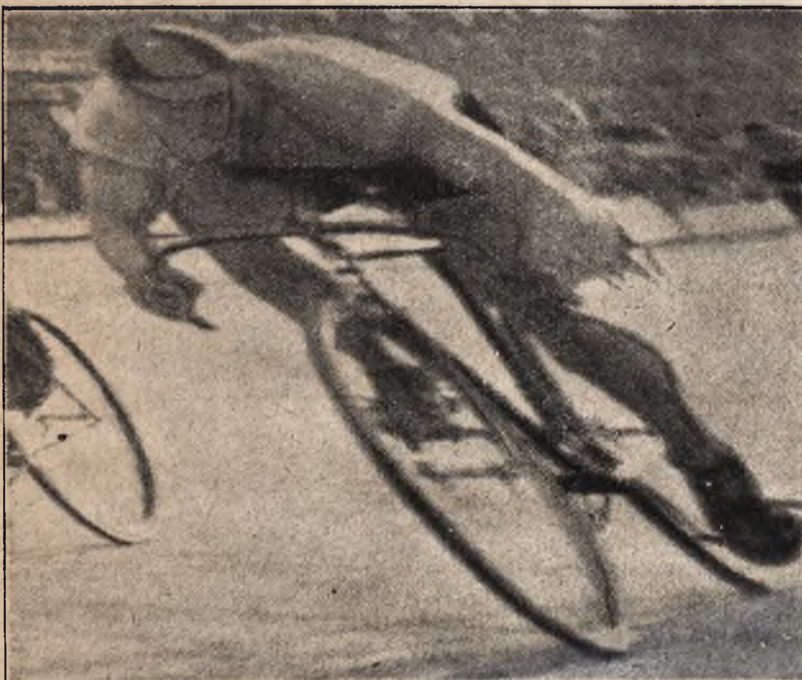
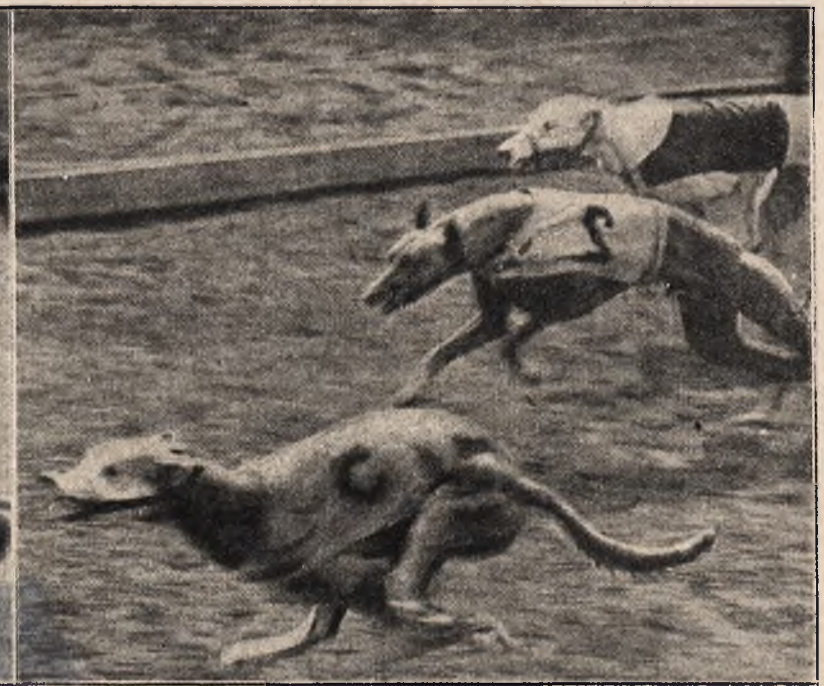


Mądrzy mistrzowie doszli do wniosku, iż wysoko umieszczona talja na plecach jest mniej korzystna dla kobiecej postaci. W ten sposób zwrócono więcej uwagi na linje na piersiach i biodrach z przodu, podczas gdy z tyłu zastosowano różne małe pelerynki, lub luźne końce, głęboko spadające po właściwej talji. Tworzą one niejako dalszy ciąg dekoltu, w każdym razie przedłużenie, które jest nadzwyczaj korzystne.

Delikatne, powiewne materje, obecnie z wieczorowych świecących lam i brokatowego chiffonu, zapowiadają rodzaj materjałów na wiosnę, które będą robione z jedwabiu lub wełny, a nawet z bawełny.

SPORT

Tempo Tempo



I któż nie wie, co w każdym sporcie oznacza tempo?

Kto je posiadł, kto doprowadził sprawność ruchów i energji do właściwego czasu, ten zwycięża i pobija rekordy nietylko innych, lecz nawet własne, ustalane przez siebie.

Czy wyścigi końskie, czy tak modne, zwłaszcza w Anglji, wyścigi psie, czy rower, motocykl, samochód, czy wreszcie biegi naprzełaj, czy sport pływacki, łyżwiarski i narciarski — wszystko zależy od tempa, na jakie stać poszczególnych zawodników.

Ma to i swoje głębsze znaczenie, jako wynik każdego szlachetnego sportu, uprawianego z myślą nietylko o tężyźnie ciała, lecz i tężyźnie ducha.

Tempo, wyrobione w sporcie, to tempo również pracy, bez której niema rezultatów na żadnem polu. Im szybsza i sprawniejsza, tem lepsza i dająca rzetelne wyniki. Jej tempo rozstrzyga.

I tu mamy wagę tempa, osiąganego przez sport i przenoszonego do życia i pracy w każdej dziedzinie.

A więc dbajmy o tempo!

Z najnowszych wydawnictw sportowych

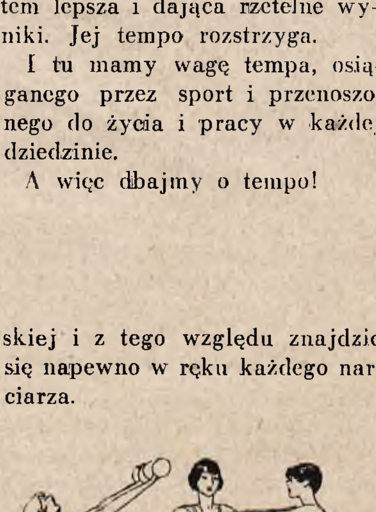
WŁADYSŁAW ZIĘTKIEWICZ, „Jazda na nartach". Podręcznik instruktorów, uczniów i samouków. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1930 r. Cena zł. 5.

Narty to jeden z najwspanialszych i najmilszych sportów zimowych. To też należy z radością i uznaniem powitać ukazanie się podręcznika z tego zakresu pióra doświadczonego narciarza mjr. W. Ziętkiewicza p. t. „Jazda na nartach". Zadaniem tego podręcznika jest nauczyć jazdy na nartach w zakresie potrzebnym narciarzowi-turyście, pomóc instruktorowi, pouczyć narciarza zaawansowanego i nauczyć początkującego.

Praca dzieli się na 6 części: 1) kursy narciarskie, 2) umundurowanie i oporządzenie narciarzy, 3) sposoby noszenia nart i kijków, 4) nauka jazdy, 5) jazda w terenie (wycieczki), 6) musztra.

Na końcu pracy mieszczą się załączniki, zawierające ćwiczenia przygotowawcze, zabawy i ewolucje, wzory programów oraz ryciny. Ryciny te, niezwykle liczne (150) i staranne, ułatwiają w dużym stopniu czytelnikowi opanowanie materjału pracy. Są one zestawione w sposób filmowy, t. j., iż każdy ruch narciarza przedstawiony jest kilkoma po sobie następującemi fazami, uwidaczniającemi każdy najmniejszy nawet szczegół ruchu. Praca ta została polecona do użytku przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego.

Ta niezwykle aktualna obecnie i cenna książka jest ostatniem słowem techniki narciarskiej i z tego względu znajdzie się napewno w ręku każdego narciarza.



RZECZY CIEKAWE

Z dnia dobroci dla zwierząt



Rozdawanie nagród dorożkarzom warszawskim za humanitarne traktowanie swych koni.



Dwaj odznaczeni laureaci nie spodobali się sobie; warczą i gotowi są do zwady.

Dnia 26 stycznia w ogrodzie Bagateli w Warszawie odbyło się uroczyste rozdanie nagród uczestnikom pochodzi w dniu dobroci dla zwierząt, zorganizowanym przez Polską Ligę Przyjaciół Zwierząt.

Rzadki był to pochód. Niewidziany dotąd nigdy jeszcze w naszej stolicy. Tłumny był i nie tyle gwarny, ile wrzaskliwy, szczekliwy i miaukliwy, gdyż zwierzęta, zwłaszcza psy i koty, prowadzone przez swoich właścicieli nie szczędziły odgłosów radości czy zdziwienia, czy może strachu. Słowem był rwetes i hałas. Ciżba ludzka wyległa na ulice, któremi przeciągał ten oryginalny pochód i witała go z uczuciem ciepłego zainteresowania, nie szczędząc datków na opiekę nad zwierzętami.



Kandydat do nagrody pozuje wdzięcznie do fotografji.

I przyjemnie było stwierdzić, iż jest jednak sporo dobrych ludzi w ulicznym tłumie, boć przecież z zupełną pewnością oświadczyć można, iż ten, kto otacza opieką zwierzęta, nie krzywdzi nigdy i bliźnich swoich.

Co prawda, słychać było i głosy niezadowolenia, ale pojedyńcze i charakterystyczne dla tych, co je wypowiadali.

Jakaś włóczęga uliczna, od której na kilka kroków biło okowitą, wykrzykiwała wrogo:

— A ludziom to nie mogą dać parę groszy?

Najzabawniejszy jednak był djalog, jaki wywiązał się przy tej okazji.

Inna babina z tłumu ulicznego, która z rozrzewnieniem przyglądała się pochodowi, zareplikowała:

— Ja tam wolę parę groszy wydać na psa, niż dać tobie, bo uchlasz się, a pies wódki nie pije...

Zmilkła przeciwniczka pochodu, lecz po chwili zaczęła znowu:

— Niedługo to pochód pcheł urządzą...

Zwolenniczka pochodu i tym razem nie została w odpowiedzi dłużną:

— Wystarczy, żebyś położyła się na ulicę, a pochód pcheł gotów.

Tłum zatrząsł się od śmiechu, a jakiś wyrostek odsunął babę, by nie przeszkadzała innym, radząc dobrotliwie:

— Idź, babciu, spać, bo zachorujesz...

I różne inne sceny były podczas pochodu.

Na transparentach, przymocowanych do psich i końskich grzbietów, widniały napisy:

— Nie czyńcie nam krzywdy, gdyż jesteśmy bezbronni!

— Kochajcie nas tak, jak my was kochamy!

— Zdejmijcie nam kagańce i namordniki!

Na ostatnie hasło niezbyt życzliwem okiem spoglądała policja, zapisująca doraźne kary za prowadzenie psów bez kagańców i smyczy.

W pochodzie jednak zwierzęta szły bez namordników.

Ciekawy widok stanowił wózek, ciągniony przez rosłego psa, a na wózku siedział kot i obok niego gołąb i biały szczur.

Wózek budził ogólną sensację, zwłaszcza, że napis głosił:

— Patrzcie, w jakiej żyjemy zgodzie, a czemu wy, ludzie, tak się kłócicie?

* *
*

Pochód w dniu dobroci dla zwierząt udał się najzupełniej. Inicjatywa stolicy winna znaleść naśladownictwo jak najszersze.

Możnaby na wzór warszawski urządzać podobne pochody wszędzie, gdyż są bardzo zabawne i gromadzą zarówno właścicieli zwierząt, jak tłum uliczny, chętnie przyglądający się rozrywce tego rodzaju.

Nie ulega kwestji, iż pochody takie, połączone z odpowiedniemi odczytami, przemówieniami i transparentami, budzą żywe uczucia humanitarne.

A tak warto uczyć ludzi dobroci...



ŻYCIE INWALIDZKIE

Dodatek „Reduty" pod redakcją prezesa Legji Inwalidów mjr. Włodzimierza Labuko

Nowa ustawa inwalidzka jest niezbędną

W chwilach zmagania się z wrogiem, kiedy stosunki w Polsce jeszcze nie uległy pełnej konsolidacji i w każdej prawie dziedzinie życia panował chaos — pomyślano o inwalidach i stworzono dla nich ustawę.

Ustawa ta, już błędna w czasie jej wydania, dziś wymaga jeszcze bardziej uzupełnienia jej, poprawienia, czy też wydania innej, nowej.

Już bowiem po wydaniu ustawy inwalidzkiej z 18 marca 1921 roku i przy wprowadzeniu jej w życie, zaczęły się perypetje z Najwyższym Trybunałem Administracyjnym wskutek skarg poszkodowanych. Wyroki Najwyższego Trybunału Administracyjnego obalały niejednokrotnie ustawę, chociażby przypomnieć art. 24, co do którego władze I instancji musiały inaczej postępować w myśl rozstrzygnięć Prokuratorji Generalnej, a inaczej w myśl wyroków Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

W międzyczasie życie posunęło się naprzód o 10 lat, nauczyło nas wiele, zwłaszcza w stosunku do krzywd, wyrządzonych inwalidom, a związanych z ustawą inwalidzką, do dziś dnia, niestety, obowiązującą.

Opieka społeczna, oparta na martwych przepisach krzywdzącej inwalidów ustawy, nie spełnia zupełnie swego zadania, a jeśli zachodzi przypadek, że inwalida musi z niej z konieczności korzystać, to przechodzi istną martyrologję, tak, że wolałby nigdy nie zakosztować „dobrodziejstw" ustawy.

Ograniczono się dotychczas jedynie do świadczeń pieniężnych, do mizernej renty, określonej wedle reguł procentowych, do rzucenia odczepnego bohaterowi wojennemu i kazano mu i jego rodzinom z tego żyć. Ciężka dola inwalidów i ich rodzin trwa już lat 11. W tym czasie wielu z nich zdziesiątkowała śmierć, a tem samem zmniejszyły się „ciężary".

Znajdują się wprawdzie w ustawie z 18 marca 1921 roku niektóre bardzo piękne artykuły, lecz są to, niestety, artykuły martwe, niestosowane i niczego inwalidzie nie dające.

Pomijając już „cienkie zaopatrzenie" pieniężne inwalidów, nie uczyniono niczego w kwestji reformy rolnej, z którejby mogli w zupełności korzystać inwalidzi wojenni, zaś w sprawach koncesyj panuje istny chaos, bowiem nadaje się je wszystkim, tylko nie inwalidom polskim.

Nie pomyślano dotychczas o skupieniu inwalidów polskich w zrzeszenia kooperatywistyczne przy pomocy Skarbu, a i o możności niesienia pomocy inwalidom w budowie domów mieszkalnych dla własnego użytku. Inwalidzi zmuszeni są do kupowania środków pierwszej potrzeby u pośredników, a bardzo wielu inwalidów, nie mając dachu nad głową, mieszka w stęchłych, zapadłych i ciemnych norach i to kątem, opłacając się ciężko z „cieniutkiej" renty. Nie pomyślano o budowie domów inwalidzkich ani zakładach dla sierot po nich. Jakkolwiek są niektóre piękne artykuły w starej ustawie, to jednak nie są wprowadzone w czyn, a jeśli pojawią się jakieś nowinki w sprawach inwalidzkich, to w każdym razie nie są po to, aby inwalida z nich korzystał, gdyż przeciwnie, każda nowość przynosi coraz to nowe ograniczenia.

Ostatnia sprawa tyczy się lecznictwa. Ograniczono inwalidę do leczenia jedynie tych chorób, które mają związek przyczynowy ze służbą wojskową. Ponadto w myśl okólników poszczególnych Okręgowych Urzędów Ubezpieczeń nadano prawo kwestjonowania związku przyczynowego cierpienia inwalidy lekarzom kas chorych. Słowem, same ograniczenia. Nie zastanowiono się nad tem, że w organizmie ludzkim jest pewna zależność wzajemna organów od siebie i że jedno cierpienie może wywołać inne, jakkolwiek napozór związku przyczynowego ze służbą wojskową nie mające. Zapomniano o tem, że inwalida, nie leczony na wszystkie choroby bez względu na związek przyczynowy, nie może opłacać lecznictwa prywatnego ze szczupłej renty swojej, a zatem z opieki społecznej w tym kierunku nie korzysta.

Nie pomyślano o rodzinach inwalidów, które powinny korzystać z ubezpieczenia na wypadek choroby. W razie zachorowania kogokolwiek z rodziny leczenie musiałoby pochłonąć całomiesięczne zaopatrzenie nawet stuprocentowego inwalidy.

Reasumując powyższe, musimy dojść do wniosku, że dotychczasowa ustawa inwalidzka jest nieaktualna, nieodpowiadająca wymogom życia i że należy stworzyć ustawę nową, którąby zaopatrzyła inwalidę i jego rodzinę należycie, t. j. tak jak zasługuje na to ten, który spełnił wobec Ojczyzny swój obowiązek, dając jej życie i zdrowie.

M. S.

Echa kongresu Małopolskiego Legji Inawlidów W.P.

Kancelarja cywilna z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przesłała podziękowanie uczestnikom Kongresu Małopolskiego Legji Inwalidów W. P., odbytego w Przemyślu, za wyrazy hołdu, nadesłane w piśmie z dnia 15 grudnia r. ub. z okazji kongresu.

*
* *

Biskup ks. dr. Władysław Bandurski nadesłał z Wilna pismo następującej treści:

„Serdecznie dziękuję za cenny objaw uczuć żołnierskich, świadczących o niewygasłym ogniu miłości braterskiej, co się do najwyższej potęgi rozszerza na bitewnych polach, wśród wojennej wrzawy i zawsze jasnym świeci płomieniem.

Niech ten ogień rozpali obojętne jeszcze dla kochanych inwalidów serca rodaków, niech już raz stopi owe lody, co stoją zawsze na przeszkodzie wtedy, gdy chodzi o poprawę losu tych, co życie swoje i krew oddali w ofierze za brać swoją i za swoją Ojczyznę! Bóg z Wami! Z pozdrowieniem i oddaniem".

Porady prawne dla członków Legji Inwalidów

Każdy członek Legji Inwalidów W. P., prenumerujący „Redutę", odtąd będzie mógł zupełnie bezpłatnie zasięgać porady prawnej we wszelkich sprawach. Porad udzielać będzie członek redakcji „Reduty", mecenas Wiesław Rykowski (Warszawa — ulica Kapucyńska 3) dla miejscowych w godzinach przyjęć od 5—7 codziennie, dla zamiejscowych listownie.

Walne zgromadzenie oddziału Legji w Lublinie

Dnia 9 lutego o godzinie 10 w sali Towarzystwa Muzycznego przy ul. Kapucyńskiej odbędzie się zwyczajne doroczne Walne Zgromadzenie członków oddziału Legji Inwalidów Wojsk Polskich w Lublinie z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie zgromadzenia i wybór prezydjum; 2) odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zgromadzenia, 3) sprawozdanie z działalności Zarządu; 4) sprawozdanie z działalności Komisji Rewizyjnej, 5) dyskusja i udzielenie absolutorjum Zarządowi; 6) uchwalenie budżetu na rok 1930; 7) wybór Zarządu, Komisji Rewizyjnej, Sądu Koleżeńskiego i delegatów na Zjazdy; 8) wolne wnioski.

Obecność wszystkich członków oddziału lubelskiego konieczna.

We wszystkich sprawach, go obchodzących, każdy inwalida Wojsk Polskich winien się zwracać do „Reduty", która ma na celu obronę jego spraw i ulżenie niedoli inwalidzkiej.

Czego pragną inwalidzi armji narodowej

W dniu 23 listopada 1929 roku odbyła się doroczna sesja Rady Naczelnej Legji Inwalidów Wojsk Polskich, która poleciła Zarządowi Głównemu wystosować do rządu memorjał w sprawie najistotniejszych potrzeb inwalidzkich.

W memorjale tym, który już został złożony rządowi Rzeczypospolitej, zaznaczono wyraźnie, iż Legja Inwalidów Wojsk Polskich powstała w połowie 1926 roku, do którego to czasu inwalidzi wojska narodowego byli wcieleni do ogólnego „Związku Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej". Ponieważ jednak w związku tym inwalidzi Wojska Polskiego siłą faktu stanowili ogromną mniejszość (8%), powołano do życia Legję Inwalidów Wojsk Polskich, która postawiła sobie za zadanie wzięcie w opiekę najbardziej zasłużonych i najbardziej opuszczonych inwalidów, którymi okazali się inwalidzi Wojska Polskiego.

Memorjał ten nie mógł więc przemilczeć, że ci, którzy dla Polski oddali najcenniejszy dla człowieka skarb — zdrowie, mają chyba prawo domagać się teraz, aby z mroków niepamięci wydobyto ich zasługę i według niej spłacono zaciągnięty dług.

Legja Inwalidów Wojsk Polskich imienia inwalidy generała Józefa Sowińskiego, walcząca pod sztandarami Polski i pod rozkazami własnego Naczelnego Wodza,— zawsze stanowić będzie samodzielną i odrębną organizację tych, którzy walczyli tylko dla Polski, natomiast w kwestjach ogólno -inwalidzkich solidaryzować się będzie z pokrewnemi instytucjami. Mamy tedy nadzieję, raczej pewność, że nie znajdzie się nikt, ktoby intencji Zarządu Głównego Legji Inwalidów Wojsk Polskich który prosi rząd Rzeczypospolitej o otoczenie Legji należną opieką — mógł nie zrozumieć lub wręcz zrozumieć nie chciał.

Zasadnicza treść złożonego rządowi polskiemu memorjału Legji Inwalidów W. P. dotyczyła szeregu spraw życiowych i uprawnień organizacyjnych, jak: wyjednanie dla inwalidów W. P. kart pierwszeństwa, budowa „Domu Polskiego Inwalidy", leczenie inwalidów w Kasach Chorych oraz nowelizacja, dotycząca renty inwalidzkiej.

Wszyscy inwalidzi Wojska Polskiego obecnie mają zwrócone oczy na rząd polski i oczekują jego ustosunkowania się do wysuniętych, zresztą skromnych życzeń, zmierzających do poprawy doli inwalidów Wojska Polskiego.

Pierwszy Małopolski Kongres Inwalidów W. P. w Przemyślu

Dnia 15 grudnia 1929 r. w sali Rady Miejskiej w Przemyślu odbył się pierwszy kongres inwalidów W. P. z Małopolski.

Na kongres stawili się licznie delegaci z Warszawy i z Lublina.

Z ramienia władz przybyli: dowódca okręgu korpusu X., generał Galica, komendant garnizonu, generał Wieroński, szef sztabu okręgu korpusu X, pułkownik Kwiatek, zastępca dowódcy 5-go pułku strzelców podhalańskich, podpułkownik Wojakowski, szef sanitarny okręgu korpusu X, pułkownik Pawlikowski, oraz przedstawiciele władz rządowych, samorządowych i policji.

Po objęciu przewodnictwa przez p. Żegiestowskiego, mowy powitalne wygłosili: generał Galica, starosta miasta, p. Krogulecki i kapitan Ostrowski.

Pozatem przemawiali kolejno koledzy - inwalidzi: Pawluk, Szerszeń, Skrzyniarz i Tökölly, poruszając sprawę pokrzywdzenia inwalidów armji narodowej pod bardzo wielu względami. W przemówieniach tych oświetlono rzeczowo i dosadnie ciężkie położenie inwalidy wojsk polskich. Poddano krytyce wadliwość ustawy, wykazującej niezrozumienie potrzeb inwalidów, przeprowadzono analogję między położeniem emerytów a inwalidów, wskazując na niesłuszne w wielu wypadkach uprzywilejowanie emerytów w stosunku do inwalidów, poruszono kwestję leczenia inwalidów i ich rodzin w Kasach Chorych, proponując szereg postulatów, mających na celu ułatwienie korzystania z opieki lekarskiej, oraz stawiając wnioski poprawek do poszczególnych artykułów ustawy inwa-z których poprawka do artykułu 35 brzmi:

„inwalida wojenny podlega obowiązkowi należenia do Kasy Chorych ze wszystkimi członkami rodziny bez względu na stopień zdolności zarobkowej".

Z innych spraw rozpatrywano kwestję udzielania koncesyj, przyczem podkreślono, iż przy ich nadawaniu inwalidzi Wojsk Polskich nietylko nie są pierwszymi, jak tego żąda ustawa, ale nawet nie są ostatnimi, bo koncesyj prawie nie otrzymują.

Przemówienie cechował ton poważny i rzeczowy i, jak to zaznaczył przewodniczący kongresu, p. Żegiestowski obradowano nad sprawami, istotnie dla inwalidów żywotnemi. Przewodniczący zaznaczył równocześnie, iż nie stawiano rządowi wymagań, niemożliwych do spełnienia, poruszając jedynie zagadnienia, mieszczące się w ramach najbardziej palących i nadających się do zrealizowania potrzeb ogółu inwalidzkiego.

Pobory z potrąceniem czy bez...

Wszystkim inwalidom znany jest punkt „f" artykułu 26 ustawy inwalidzkiej.

W żywem poczuciu niesłuszności tego krzywdzącego inwalidów prawa Zarząd Legji Inwalidów Wojsk Polskich przedstawił władzom rządowym życzenie ogółu inwalidów armji narodowej zawieszenia punktu „f", tego niefortunnego artykułu.

Nie jest słuszne, aby inwalidzie, sprawującemu urząd państwowy, odtrącano z poborów sumę w wysokości należnej mu renty inwalidzkiej, gdyż renta ta przeznaczona jest na doleczanie się i stanowi zasiłek, należący się za kalectwo, nabyte na wojnie, a nie w czasie służby pokojowej.

Zaznaczyć należy, iż emerytowi, piastującemu urząd, nie są potrącane sumy, równoważne emeryturze.

O ile więc życzenie to zostanie uwzględnione, spodziewać się można, iż inwalidzi Wojsk Polskich, zatrudnieni w urzędach państwowych, otrzymywać będą całkowite pobory w stosunku do zajmowanego stanowiska i bez względu na pobierana jednocześnie rentę inwalidzką.

Za kulisami koncesyj inwalidzkich

Informują nas, że na terenie urzędu skarbowego w Przemyślu, na 150 koncesyj tytuniowych przypada: 116 — na wdowy nie po inwalidach, 22 — na inwalidów armij zaborczych, reszta zaś na wdowy po poległych w czasie wojny 1918—1920 roku. **Inwalidzi wojsk polskich na terenie przemyskim koncesyj nie posiadają!**

Jako przykład podajemy osoby nieuprzywilejowane, a posiadające koncesje, a mianowicie: pp. Ziemiańska, wdowa po radcy sądowym, Niemcow, wdowa po dyrektorze magazynu tytuniowego, Laskowicka, wdowa po naczelniku poczty, Pykoszowa, wdowa po wyższym urzędniku skarbowym, Ćwikowska, wdowa po dyrektorze gimnazjum, Szklarowa, wdowa po pułkowniku, Kurpielowa, wdowa po profesorze gimnazjum, właścicielka realności, otrzymująca 183 zł. emerytury miesięcznie, Fechterowa wdowa po dyrektorze szpitala w Jarosławiu, i wielu innych.

Ustawa inwalidzka mówi o pierwszeństwie dla inwalidów przy nadawaniu koncesyj, lecz w praktyce, jak widać, inwalidzi wojsk polskich nie są nietylko na pierwszem miejscu, ale nawet na ostatniem. W takich warunkach nie widzimy możności, choćby częściowej, do polepszenia bytu materjalnego inwalidów wojsk polskich i ich rodzin.

Jakie są koncesje i gdzie

Urząd Skarbowy Akcyz i Monopolów Państwowych w Krakowie zawiadamia o wolnych koncesjach na sklepy tytuniowe:

L. 611/30 w Wieliczce — termin składania podań do dnia 10 lutego 1930 roku.

L. 383/30 w Krakowie, przy ul. Zyblikiewicza Nr. 15 — termin składania podań do dnia 8 lutego 1930 roku.

Urząd Skarbowy Akcyz i Monopolów Państwowych w Krakowie zawiadamia o wolnej koncesji na detaliczną sprzedaż napojów alkoholowych.

L. 371/30 w Jeziorkach ad Syczyna — termin składania podań do dnia 14 lutego 1930 roku.

Urząd Skarbowy Akcyz i Monopolów Państwowych w Tarnowie zawiadamia o wolnej koncesji na sklep tytoniowy.

L. 319/30 w miejscowości Iwkowa — termin składania podań do dnia 11 lutego 1930 roku.

Kielecka Izba Skarbowa zawiadania o wolnych koncesjach na detaliczną sprzedaż napojów alkoholowych bez wyszynku.

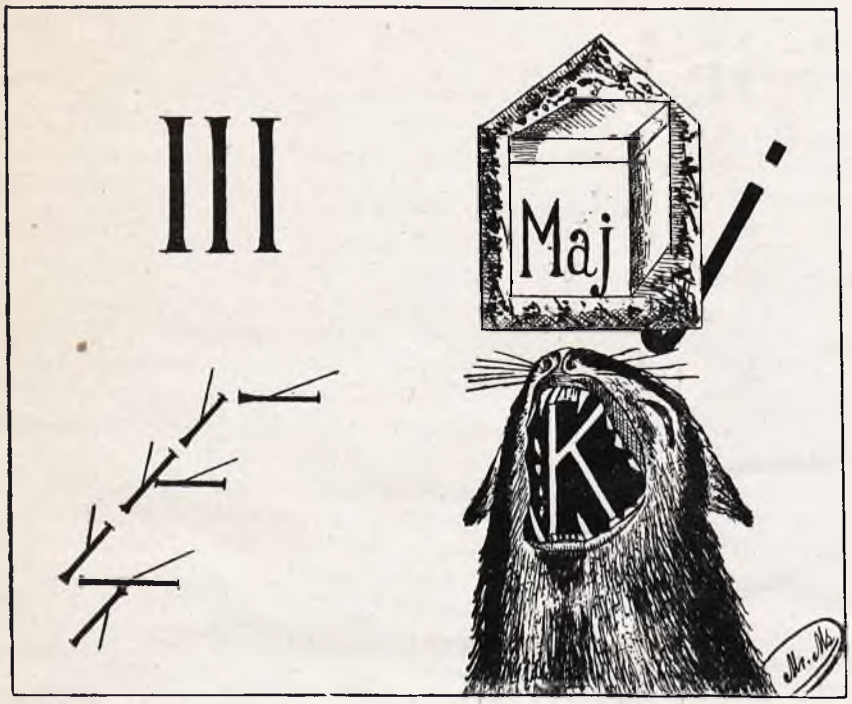
L. 7433/30 w miejscowości Zaki pow. Będzińskiego — termin składania podań do dnia 15 lutego 1930 roku.

Urząd Skarbowy Akcyz i Monopolów Państwowych w Krakowie zawiadamia o wolnej koncesji na sklep tytoniowy.

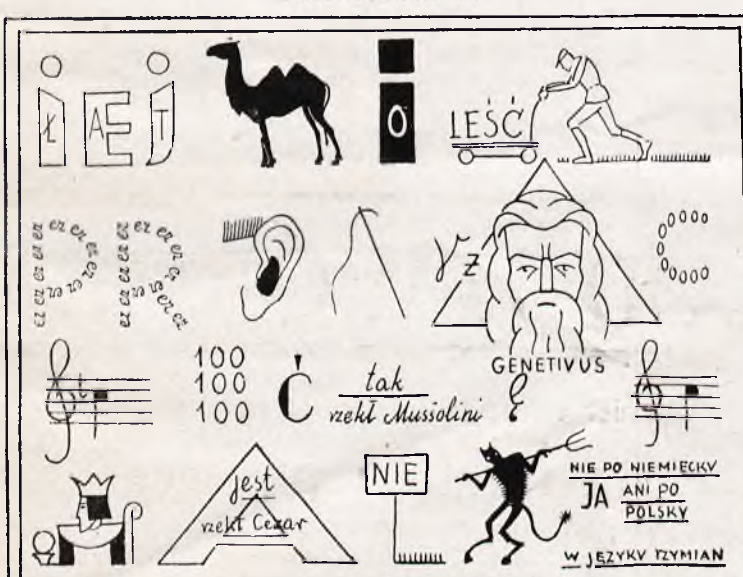
L. 616/30 w miejscowości Podstolice — termin składania podań do dnia 15 lutego 1930 roku.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

REBUS Nr. 4.



REBUS Nr. 5.



REBUS Nr. 6.



Za rozwiązanie rebusów powyższych Redakcja „Reduty“ przeznacza po 5 nagród książkowych za każdy rebus przez losowanie.

*

* *

Rozwiązania w dziale „Rozrywek“ podawane będą co drugi numer „Reduty“.

REDAKCJA.

Z REDAKCYJNEGO BIURKA

A. Szrotowi w Łodzi. Serdecznie dziękujemy za życzenia. Cieszy nas bardzo, iż potrafiliśmy tak zainteresować Pana, zasługując sobie na wyjątkowe poparcie. Doprawdy, czujemy się bardzo wdzięczni i zobowiązani.

M. Stępowskiemu w Płocku. Dziękujemy za rady, które tem chętniej słyszymy od naszych Czytelników, że dla nich właśnie redagujemy pismo, starając się dać wszystko to, coby mogło obudzić zainteresowanie. Z nadesłanych materjałów skorzystamy, lecz prosimy o nadesłanie fotografij.

W. Rosińskiemu w Wilnie. Wybitne zabarwienie polityczne Pańskiego artykułu uniemożliwia nam publikowanie jego na łamach „Reduty“, która nie jest pismem politycznem.

H. P-skiemu w Warszawie. Książki „Różowe i Błękitne“ wychodzą już czwarty rok i liczą po 70 tomów każdej serji — różowej i błękitnej. Szczegółowy katalog możemy przesłać na żądanie. Zupełnie zgadzamy się z uwagami Pana co do zbyt słabej troski o rozwój czytelnictwa wśród dzieci i młodzieży. A przecież książka to najlepszy przyjaciel od najmłodszych lat, dający tyle przyjemności i rozkoszy. Oczywiście, mamy na myśli tylko książki dobre, z których wychyla się słońce, a nie czai się brud uliczny.

St. Rembalskiemu w Katowicach. Wszystkim, których adresy Pan nam raczył przesłać wysłaliśmy już numery okazowe. Za tak gorące poparcie „Reduty“ składamy wyrazy serdecznego podziękowania.

Halinie S. w Bydgoszczy. Zapytuje Pani, co można pisać do „Reduty“. Wszystko, co interesować może ogół czytelników. Co do tego, jak pisać — żadnej recepty udzielić nie możemy. Każda rzecz napisana jest o tyle dobra, o ile odpowiada wymaganiom literackim formy i treści, oraz — zasadniczy warunek — o ile nie jest nudna. Niech Pani próbuje. Co do poezji to zastrzegamy się zgóry, iż żadnych tak zwanych próbek poetyckich drukować nie będziemy, gdyż mogą one interesować najbliższą rodzinę, przyjaciół i znajomych, lecz nie ogół czytelników, których się w ten sposób krzywdzi.

Marji Z. w Wadowicach. Za nadesłaną listę prenumeratorów bardzo dziękujemy. Co do powieści, to zamierzamy ją wprowadzić już w najbliższych numerach. Z nadesłanego materjału ilustracyjnego jaknajchętniej skorzystamy.

M. Porębskiemu w Gdańsku. Wydanie słownika Lindego jest już zupełnie wyczerpane. Znaleźć chyba można tylko w antykwarniach. Co do ceny, nie przypuszczamy aby była zbyt wygórowana.

Prosimy o jaknajszybsze wpłacanie prenumeraty na konto czekowe P.K.O. Nr. 21.760. Każdy, kto opłaca abonament „Reduty“, przyczynia się jednocześnie do dobrej sprawy otoczenia serdeczną opieką inwalidów armji narodowej.

Przygody Czesia Gołego

Historja I-sza (karnawałowa)



Każdy trud i praca zbożna,
z dancingu też wyżyć można.
grosza trochę zrobić aby,
spróbuję obtańczyć baby —
tak pomyślał Czesio Goły.
bez gotówki, lecz wesoły...



Serc pogromca przy nim niczem,
kiedy stanął przed obliczem
gospodarza, co zachwycon,
rozchmurzył swe groźne lico —
pomówili i po chwili
targu z sobą wnet dobili...



Choć odważny był Cześ Goły,
zadrżały mu fraka poły,
bo conajmniej kilo dwieście
przyczaiło się w niewieście —
gdy przetrzyma te męczarnie,
górę złota chyba zgarnie...



— Czy można?... — Ależ, o panie,
dla mnie rozkosz tańcowanie...
I uśmiech jej twarz anieli,
a męża aż djabli wzięli:
zazdrosny był prowincyjał
o najdroższy swój specyjał...



Patrzył, patrzył długo stary...
— To nie taniec, lary-fary,
nie oszukasz, co? tak zbliska?
I pioruny z oczu ciska.
— Mężusiu, to „youkelele"...
— Właśnie za to w łeb go zdzielę!



Pięścią mocno wymierzoną
rozdzielił go ze swą żoną
i w przystępie strasznej złości
zmiażdżyłby Czesiowi kości,
gdyby nie zacnej podwiki
lament, spazmy i okrzyki...

Redaktor odpowiedzialny: J. Zacharkiewicz

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.